

WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.
Tom piętnasty.



PALAC I FOLWARK.

OBRAZY NASZYCH CZASÓW

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM II.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1883.

Доволено Цензурою.
Варшава, 9 Поября 1882 года.

Zachmurzony Ostójski wyszedł gdy go zawołano do wieczerzy, ręce w kieszeniach, głowa spuszczone, krokiem powolnym jak był zwykły, gdy co miał na sercu.

Zosia właśnie rozdawała krupniczek, ale nie było ich przy stole tylko dwoje. bo p. Klara rozchorowała się na głowę i przewiązawszy ją w szafranie farbowaną chusteczką co jej zawsze pomagało — została w swoim pokoju.

— Co to ojcu jest? — zapytało dziewczę podając mu wódkę i zakąskę.

— Nic mi nie jest... tyłkom głupi, — rzekł wzdychając Ostójski, — tyłkom głupi.

Zamilkli, córka patrzała nań jak w tęczę. — Niech no mi tatko powie, to mu lżej będzie... trzeba co jest złego z siebie wyrzucić...

— Kiedy bo to — ani złe, ani dobre... tylko... tylko głupie, — dodał Ostójski wzdychając.

— Ale cóż to jest?

— Bałamuctwo!.. — Zamilkł znowu, poprobował jeść krupnik, który zwykle jadał, nie smakował mu.

ukąsił chleba i tego przełknąć nie mógł. siadł i palce okręcał sumując.

— Czy to jaki sekret? spytała Zosia.

— Sekret, o którym wróble na dachu śpiewają, — rzekł Ostójski.

— A ja niewiem! mruknęła Zosia.

— E! dalipan, mnie się widzi że i ty to wiesz, tylko pewnie jak ja. nie robisz z tego sobie wielkich rzeczy.

— Nie mogę zgadnąć, — dodała Zosia.

— Nie łam sobie głowy — głupstwo! — powtórzył Ostójski.

Podano kaszkę sypką, Ostójski wziął na talerz, skosztował i łyżkę położył. — Jeść czegoś nie mogę.

— Bo byś się tatko wypowiadał przedemną i — i było by ci zaraz lżej, ja bym coś może poradziła!

— Ty?

— Ja.

— No, proszę... ty... do rady!

— I bardzo! — roześmiała się Zosia.

Ostójski odstawił talerz, poszedł po swoje karty i zamiast wieczerzę jeść, począł kabałę kłaść. Zosia przestała pytać, ale pomagała do ulubionej zabawki.

— Powiedz ty mnie Zosiu, — zawołał nagle Ostójski. — czyś ty nie postrzegła że to paniątko, hr. Edmund słodkie oczki do ciebie robi?

— Jakżebym ja, kobieta. nie postrzegła tego? — usmiechnęła się Zosia. — Gdyby to nie od tatka, pogniewać by się można za samo pytanie.

Cześnikiewicz zaczął się śmiać.

— Cóż ty na to? he?

— A! ojcie kochany — chyba ze mnie żartujesz i tem drugim pytaniem. On się bawi, ja się nim bawię,

i na tem koniec... któżby brał na seryo wzdychania takiej ekscelencyi!

— Masz słuszość! ale bo nie wiesz może, iż ludzie już o tem gadają.

— Niech sobie plotą.

— I — żeby ci to nie szkodziło?

— Cóż mnie szkodzić może, że kochają się we mnie, gdybym ja się kochała. byłabym płocha — to co innego...

— No a gdyby cud się stał i ów panicz... ów panicz, przyszedłby dziedzic kluczów, zamków, wsi. folwarków. zaszłał tak żeby się oświadczył o Zośkę?

— Zośka by się pokłoniła grzecznie, za honor podziękowała i powiedziała by mu: Niegodnam abyś wstąpił do przybytku serca mego... Bywaj pan zdrów...

Ostójski śmiał się aż mu się brzuch trząsł, odsunął kabałę i w chwili gdy zimną kaszkę miano zabierać, namyślił się.

— Stój, czekaj — będę jadł! apetyt mi powrócił.

Chłopak wyszedł. Cześniakiewicz był już w najwysmienitszym humorze.

— Jednak, wiesz co. Zośko, rzekł, — ja sobie myślę że dla niego i dla nas lepiej by było gdybyśmy mu z oczów zeszedli i tak... gdzieś... wycieczkę sobie zrobili.

Zosia głową potrząsała.

— Mój tatku. pomyślałby że my się go ulękli. Przytem ja do podróży nie mam ochoty najmniejszej. — To sobie przejdzie.

— Jak chcesz... jak chcesz... Ale ludzie plotą że to niby bardzo seryo.

Dziewczę ruszyło ramionami.

— Ja jestem dziecko i świata nie znam, — odezwała się, ale wiem że hrabiowie tacy na seryo się nie kochają. Bałabym się niepotrzebnie w biednym, ubogim. osamotnionym człowieku obudzić passyę... ale w takim hrabi!!

Ostójski pociągnął na tę intencję kabałę i na tem się skończyło.

Tego dnia gdy Kanonik począł się wybierać w drogę. a spłoszony Wikary wynuknął się z plebanii. cały dzień go nie było. Nie przyszedł na obiad, nie wrócił po obiedzie, a nad wieczorem hrabina przysłała swojego kamerdynera z ukłonem, prosząc Kanonika aby był łaskaw ją tegoż jeszcze dnia odwiedzić.

Kanonik nie mogąc wyjechać, ani chcąc odmówić kolatorce, kazał odpowiedzieć iż służyć nie omieszka. Nie długo czekając wziął swój parasol nieodstępny, a żeby czasu po drodze nie tracić brewiarzyk w rękę i powoli pociągnął ku pałacowi. Kamerdyner czekał już na niego w ganku i jak tylko spostrzegł poszedł oznajmić pani hrabinie, która natychmiast kazała prosić Kanonika do gabinetu. Zastał ją tu samą, w krzesle nad stolikiem, na którym już stała dla gościa podana kawa.

— Bardzo przepraszam, — odezwała się zmuszając do polszczyzny hrabina. — że fatygowałam ks. Kanonika — chciałam pomówić, poradzić się.

Kanonik się skłonił — ona westchnęła.

— Trudno mi tak czasem do kościoła dojechać. a chciałabym codziennie słuchać mszy św., a znowu wam Wikarego odbierać, kiedy powinien być pomocą — zwłaszcza przy waszym wieku.

— A! pani hrabino, — roześmiał się proboszcz, — ja jeszcze nie czuję się tak starym i niedołężnym — i radę sobie dam z parafią... Wikary mi nie jest tak nieodzownie potrzebnym.

— Zawsze, zawsze mój ojcze...

Kanonik chciał wysłuchać o co chodziło. więc milczał.

— Otóż, mój dobry ks. Kanoniku. wiedząc i to że wam podobno jakoś ten młody człowiek nie zupełnie dogodny...

— Tego nie powiem. — przerwał Kanonik, — ja jestem z niego dosyć kontent. może on ze mnie. nie...

Hrabina spojrzała bystro i spuściła oczy.

— Koniec końców, wzięłabym go sobie za kapelana, to i wybyście się od niego uwolnili — i ja bym wam nie była ciężarem... Czy nie macie nic przeciwko temu?

— Pani dobrodziejko, — odezwał się Kanonik, — jak tylko jej życzeniem jest to — dla mnie będzie najmilej jeśli się ono spełni.

— Tak! tak! byłam pewna, — śmiejąc się dodała pani, — że wy się za to gniewać nie będziecie. Ale powiedzcie mi, ot, tak, szczerze. jak swej kolatorce... czem on względem was przewinił?

— Ja go o nic nie obwiniam, — rzekł Kanonik. — Możemy być różnych charakterów, nie zawsze się godzić w sposobie zapatrywania na świat, na ludzi i obowiązki — ale ja nic niemam przeciwko niemu.

— Nic?? — powtórzyła hrabina.

— Nic a nic, — potwierdził Kanonik.

— Więc się starać mogę aby mi go wyznaczono za kapelana do pałacowej kaplicy?

— Jeśli wola w tem pani...

Rozmowa tak poczęta, prowadzona ze strony kołatorki bardzo ostrożnie i delikatnie, potrwała jeszcze z pół godziny, zeszła na obojętne ogólności i Kanonik oddał dobranoc.

Przy pożegnaniu hrabina powtórzyła zapytanie i dodała.

— Pomimo że mnie ks. Kanonik zapewniasz że nie do ks. Wikarego nie masz, ja — na wszelki wypadek, go proszę, gdybyś będąc w mieście był pytanym o niego... nie psuj mu... a jeśli jest nawet wina jaka, — dodała z przyciskiem, — odpuść mu ją po chrześcijańsku...

Pocałowała w ramię księdza, który powoli odszedł. W powrocie na plebanie już brewiarz nie przydał się gdyż zaczynało być ciemno, Kanonik z myślami swemi wolno pociągnął ku domowi. Czekala go tam siostra z ubogą wieczerzą — Juliana nie było.

Wieczerza była więcej niż skromna, nakrycie do niej jak najprostsze, obrus gruby, talerze stare, łyżki cynowe, karafka wody i chleb razowy.

Ponieważ probostwo było bardzo intratne, miano niezmiernie za złe Kanonikowi to jego tak nazwane skąpstwo, które wypływało z zasady. Utrzymywał on że ksiądz był szafarzem mienia ubogich i sam jak najmniej w życiu się od nich różnić powinien. Miano to za przesadę, za pokrywkę sknerstwa tylko. Obywatelstwo które się zjeżdżało na odpusty i święta, nie znajdując na probostwie nic oprócz najprostszego śniadania, nie mogło tego darować Kanonikowi iż nie poił i nie karcił. Zarzucano mu nepotyzm, zbieranie dla siostrzeńca, dla siostry, chociaż biedny kapłan

grosza nie miał przy duszy. Wiedzieli najlepiej ubodzy w miasteczku, szkółka, sieroty na co szły jego dochody... Ci co go bliżej znali byli dlań z uwielbieniem, ale na złośliwych nigdy nie zbywa.

Przy wieczerzy smutnym był i pleban i siostra jego; do tego usposobienia przyczyniało się iż Julian zbyt często się oddalał z plebanii, bawił nieopowiadając się gdzie, wracał smutny, posepny, milczący i nawet matce się nie zwierzał z tajemniczych jakichś obrotów. Wiedzieli że u Ostójskich bywał rzadko i to właśnie trapiło, że gdzieś się błąkał. a zapytany. niechętnie tłumaczył. Obawiano się nań wpływn pałacowego... gdyż posądzano że tam pono najczęściej chodził i najdłużej przesiadywał. Jednakże Kanonik aby nie martwić matki, matka żeby nie zniechęcać wuja dla syna nie wspominali o tem i unikali rozmowy. Oboje widzieli w nim ze smutkiem wielkim zmianę wcale niepocieszającą. Pracował nad miarę, ale żył z dalszą i sercem zamkniętem, z rachubą zimną i troską ciągłą o przyszłość, bez młodzieńczych porywów ku niczemu co zwykło młodość pociągać. W jego wieku to wystygnięcie zawczesne, to opętanie widokami ambicyi i robienia majątku, nie było wcale pocieszającym. Kanonik nie porywczy był w sądzeniu. matka jako matka pobłażającą — obojgu wszakże serce się trwogą ścisnęło.

I tego dnia talerz przy którym zwykł był Julian zasiadać, niebył zajęty przez ciąg wieczerzy. nie przyszedł na oznaczoną godzinę. Matka patrzała na puste krzeselko i łza się jej w oku kręciła. Mówiła jej na ucho p. Klara o tem iż powszechnie postrzegano że się zbliżał bardzo do pięknej włoszki, nie wierzyła wszak-

że pobożna kobieta aby coś zdrożnego w tym stosunku być mogło. Kanonik jak o wielu innych rzeczach tak i o tem wcale nie wiedział. Jego trapiło to więcej iż Wikary zbyt często z nim przestawał.. bo się jego wpływu obawiał.

Z drugiej jednak strony matka, i wnj zbyt praktyczny kierunek widząc w Julianie. nie pojmowali jakby njąc się dał temu co mu przyszłość zawiązać mogło i co jego realistycznym przekonaniom było przeciwne. Najgorszem zaś dla obojga wydało się to, iż Julian niechętnie mówił o sobie i nadto był zamknięty, co dowodziło, iż stracił dziecięce zaufanie do matki i wuja.

Pod koniec owej postnej wieczerzy która się składała z kleiku owsianego i kilku jaj, nadszedł Eliasza odnoszący zwykle wieczorem klucze od zakrystyi, od niepamiętnych czasów spoczywające nocą na kołku u drzwi; i pozdrowił siedzących.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków — rzekł Kanonik. — Czy ks. Wikary powrócił?

— Niema go... niema — odparł Eliasza — ale niewielki i żał po nim — dodał — bodaj czy nie zanocnje w pałacu, bo po manatki przysłał..

— A! — rzekł Kanonik.

— Aleć on i bez nich tam nieraz nocował... niewiem co znaczy iż dziś je zabrali.

— On tam zapewne stale przy kaplicy osiedzie — rzekł Kanonik.

— Toćby i dobrze zrobił — mruknął wiarus — płakać nie będziemy...

— A Juliana tam nie widziałeś? — spytał Kanonik.

— Nie, z książką poszedł... niewiem.

— Gdy powróci. poproś go do mnie. jutro jadę, rad-bym się z nim widział.

Dosyć już późno było i Kanonik w swoim poko-iku ostatek wieczornych pacierzy odmawiał. gdy na-reszcie Juliana krok dał się słyszeć w pierwszej izbie. Zbieg wszedł.

— Gdzieżeś to bywał? — spytał wuj.

— Zatrzymano mnie w palacu...

Kanonik położył brewiarz, zbliżył się do sio-strzeńca. pocałował go w głowę.

— Mój Julku. mój Julku. powiedz mi. co tobie jest? Nie takesz dobrze z nami jak dawniej. stronisz od mat-ki i odemnie, nadto często przebywasz w towarzystwie palacowem. zmienileś się.

— Kochany wuju — zawołał Julian — naprawdę niewiem czy mi za złe mieć można iż to towarzystwo dobrem znajduję. Trudno o lepsze...

— Ja go nie ganię... ale—płoché ono... rzekł ksiądz— a że na świat patrzy z salonu, w którym jest zamknięte zawsze, pogląd jego na świat ten fałszywy często.

Julian ruszył ramionami.

— Jakże twój wielce praktyczny kierunek, twoja miłość pracy, twoja ambicyjka, godzi się z przekonania-
niami tych... osób? spytał Kanonik.

— Jakoś się godzą — lakonicznie zamknął Julek.— Są to ludzie dobrze wychowani, zdrowo zapatrujący się na społeczeństwo jakim ono jest, bez urojeń, bez marzeń i to właśnie zbliża mnie do nich, bo ja — marzeniami się brzydzę...

Kanonik stanął, popatrzał długo na Juliána nie mówiąc słowa i wrócił ku niemu z czułością obejmując za szyję.

— Dziecko moje! ty, w twoim wieku, marzeniami

się brzydzisz! o! mój słodki Boże! coś powiedział! Tak! — wiek nasz cały idzie w tym kierunku iżby rad ochrzcił marzeniami najszlachetniejsze serca porywy... wkrótce może i Ewangelię nazwiecie marzeniem... Wszystko marzenie! Ależ dziecko drogie, tem co ty zwiesz marzeniem, życiem dncha tylko żyje człowiek... jeśli zejdziesz na ciało, będzie cywilizowanym bydłciem... Marzenie!! mój Boże — mówił Kanonik — a toć żywot. Idealy! a toć słońca do których lecieć potrzeba... ono to jest więc u was także marzeniem. wszystko co człowiek niedoścignionego ściga.

Stał winowajca, nśmieszek mu krzywił nsta. nie-mówił nic. Kanonik uspokoił się po chwile, zmiarkował że spór i dialektyka z milczącym niemożliwa, dał pokój.

— Ja jutro jadę — rzekł — byłbym ci wdzięczn. żebyś więcej przy matce i domu pozostał. Między nami mówiąc, dobrą twą, kochającą cię matkę zaniedbujesz trochę. Mniej tego pałacu a więcej pilnuj domu, jak mnie kochasz. Zechcesz się rozerwać, idź lepiej do Ostójskich tam masz przyjacielskie prawdziwie, dawno wypróbowane serca... tam nic ci nie grozi. W pałacu radzi ci są bo się nudzą, ale oni z ludźmi nie swego świata. żyją tylko z nudów i przez grzeczność... a szczerzej dla nich miłości nie mają, bo ich za pośledni rodzaj ludzi nawykli rachować...

Siostrzeniec milczał — na tej się więc nance skończyło. — Dobranoc — dobranoc. — Kanonik padł na kolana i długo się jeszcze modlił.

Skutkiem otwarcia oczów p. Ostójskiemu, rozmowy jego z Zosią i rozbudzonej uwagi obojga było, że między pałacem a folwarkiem stosunki nieco ostygły; a raczej ostrożniejszemi się stały. Był to jedyny spo-

sób wszakże, mówiąc po staremu — podbicia bębenka hr. Edmundowi, który o ile był zdolnym się zakochać, w Zosi się zakochał. Matka mu bynajmniej nie przeszkadzała może z wielką przebiegłością niewieścią, obrachowawszy iż przeszkody spotęgowuje miłość a dany jej bieg wolny, prędzej je wyczerpuje. Hrabina należała zresztą do tych pieśczonej życiem zobojętniałych istot, które unikają wszystkiego co im pokój i używanie czemkolwiek zakłócić może. Była nawet dobrą i łagodną dla tego najbardziej, ażeby się nie irytować i nie ściągać sobie niepotrzebnych kłopotów. Flekroć Edmund mówił przed nią o Zosi odpowiadała mu: Jesteś już pełnoletnim, masz rozum, rób jak uważasz lepszem dla ciebie, ja ci nic nie narzuć... Ładnie się żenią dla siebie, powinni się żenić sami. Nie będę kryć przed tobą, iż świetną partję znalazłeś byś potrafił, przy stosunkach jakie bierzesz po nas w spadku — Mais, c'est votre affaire!

I odwracała rozmowę na inny przedmiot. Hr. Edmund tymczasem czuł się coraz więcej opanowanym wrażeniem jakie na nim Zosia, sama o tem nie wiedząc czyniła. Gdy parę dni tylko jej nie widział biegł sam na folwark, wciskał się gwałtem i godzinami tam prześiadywał. P. Klara, nie dając po sobie poznać tego, sprzyjała naturalnie miłości, którą uważała za nadzwyczajne szczęście dla Zosi i domu. Ostójski był grzeczny a zimny. Ale jego najczęściej niezastawał odwiedzający na folwarku. Największą przeszkodą dla hr. Edmunda była wesołość Zosi, która śmiejąc się ze wszystkiego nic na seryo brać nie chciała. i ten nieszczęśliwy Margocki, który albo na folwark go wyprzedził, albo go tam dognał... albo z drogi go już czemś odciągnął.

Prowadził on to bardzo zręcznie. złapać go nie było podobna na nmyślmem zabieganiu — wytłomaczył się zawsze, przecież... licho go wniosło niepotrzebnie, gdy hr. Edmund najmniej się spodziewał.

Jednego wieczoru zasiadł się był tak gość w najlepsze pod pozorem że życzy sobie Ostójskiego docze-kać. czemu p. Klara wcale nie była przeciwną, gdy przez okno na drodze do pałacu wiodącej ukazał się po-wóz podróżnemi tłomokami i kuframi obładowany. Po-nieważ się nikogo z gości w pałacu nie spodziewano, hr. Edmund chwycił aż lornetkę żeby powóz lepiej rozpoznać i dopatrzył tylko tego, że na kufrach był futerał od męskiego kapelusza. co zwiastował przyby-łego mężczyznę.

Kto to być mógł, głowę sobie łamał, ale bądź co bądź, czuł się tam potrzebnym i rad nie rad, przekli-nając natręta, musiał ciocię i Zosię pożegnać. Pobiegł sam do pałacu, wiedząc że matka by przysłała po niego.

Na drodze spotkał zadyszanego Margockiego.

— Bieglem właśnie po pana hrabiego.

— A! gość jakiś, przekłety natręt.

Margocki się roześmiał, biorąc za boki.

— No, któż to taki?

— Stary hrabia!

Młodemu hrabiemu ręce opadły... Ze wszystkich natrętów ten może, choć się go nazwać tak nie godzi-ło. był najniebezpieczniejszym. Łacno się też domy-słał każdy co niespodzianie sprowadzało hrabiego dzie-łającego się między Wiesbadenem a Ostendą do domu. Musiał odebrać wieść że żona wyruszyła ssać dochody, że syn tam był także i w trwodze ażeby mu nie zagar-nięto potrzebnych funduszów na przebycie zimy w Ni-

cei i Monaco, pospieszał i on na plac boju. Interesowani łatwo się tego mogli domysleć i można sobie wyobrazić jak mu byli radzi. Stosunki pana domu z żoną i dziećmi, były nader przyjazne, serdeczne na pozór, ale najobojętniejsze w świecie. Całemi latami nie widywali się z sobą, spotykali jak dobrzy starzy znajomi, mówili nie dotykając nigdy kwestyi drażliwych. w interesach traktowali z sobą przez trzecie osoby. witali mile, rozstawali przyzwocie. Dla zachowania też tej przyzwoitości pisywano do siebie listy pełne do niczego nie obowiązującej czułości najśliczniejszą francuzczyzną, nigdy nie tykając interesów. O tych uwiadomiony był plenipotent. który musiał często nader ostro przed nim występujące strony godzić, zbliżać i sądzić. W chwili gdy często najzaciętsza była walka o pieniądze, których wiecznie wszyscy potrzebowali więcej niż mieć mogli listy ceremonialne tchnęły najwykwintniejszą czułością.

Hrabia był o wiele starszym od żony. ale utrzymywał się przy pozorach pewnej siły i rzeźwości prawie młodzieńczej środkami od anglików wyuczonymi. Słusznego wzrostu, szykowny, grand seigneur w każdym ruchu i słowie, twarz miał chudą ale jeszcze piękną, włosów siwych nie farbował. ani się z nimi tał, ale je utrzymywał bardzo starannie. Strój jego był nadzwyczaj prosty na pozór, ale w istocie wyszukany i robiony u najlepszego krawca na Regent-Street. Innych jak angielskie suknie hrabia nie mógł ani nosić ani znieść.

Nie mógł się nie podobać hrabia tak był miły, grzeczny, dowcipny, tak umiał rozmawiać, tak się potrafił z najwyższym zawsze znaleźć taktem. Istny

gentleman angielski, obrał sobie za wzór lordów izby wyższej i na nich się z wielkiem powodzeniem wymodelował. Co do przekonań i barwy politycznej. był torysem najczystszej wody, a polskiego nie miał w sobie nic i przyznawał się otwarcie że się o to najpilniej starał, by się odpolonizować. Na naród do którego miał nieszczęście, jak powiadał należeć, zapatrywał się ze znanego bardzo stanowiska najwyższej pogardy i wstrętu. Dosyć ażeby co było polskiem, by dlań się stało niemiłem. Obyczaje, cnoty, wady potępiał znajdując zawsze ironiczną stronę we wszystkim. z której się prześmiewać lubił.

Typ to wcale nie wyjątkowy. Mamy niestety, Polaków takich mnóstwo, którzy jeśli nie mówią jak hrabia, myślą jak on.

Stosunki w kraju ograniczyły się dla hrabiego światem urzędowym i małą liczbą tych domów, które się starają doń zbliżyć i należeć. Poniżej już dlań nie było ludzi z którymi by nawet zmuszony raczył przedstawiać... to była już ta nieznośna polonia, której nie cierpiał. Jeśli wypadkiem dłużej się w kraju zabawił a w cndzym gdzieś domn zaprezentowano mu kogo, na-przód starał się ręki nie podać, potem cofał nieco, pozdrawiał ukłonem dumnym, nie mówił słowa i oddalał się dając do zrozumienia iż zbliżać się nie myśli.

Za granicą hrabia wcale tak przebieierającym nie był, w Monaco i Wiesbaden zasiadał do stolika gry obok największej hałastry europejskiej, zapoznawał się. bywał, przyjaźnił, ale w domu!! W kraju też zwykle z musu tylko siedział. na krótko i uciekał jak z atmosfery, którą wyżyć nie mógł.

Margocki z hr. Edmundem pospieszyli do oficyny

w której były zawsze gotowe na przyjęcie apartamentów hrabiowskie, gdyż tam zajechał i wysiadł. Miał się przebrać i posłał do hrabiny z zapytaniem czy będzie przyjętym i o której obiad. Stary hrabia inaczej nie jadał jak najwcześniej o siódmej, tu na wsi o trzeciej musiała jadać hrabina, dla uniknięcia wielu niedogodności, ale i ona by była wołała siódmą lub ósmą. Ponieważ już było po obiedzie, hrabia kazał sobie podać obiad w swoich pokojach, a do hrabiny obiecał się na wieczór.

Nakarmić hrabiego było na wsi niesłychanie trudno, wykwinny smakosz, nierozumiał obiadu bezprawidłowego. Musiała być ryba, zwierzyzna, lody, przekąski, nowalie, cztery wina różne... szampan i t. p. Musiało to wszystko być podane z szykiem, a najstarsze Bordeaux bez koszyczka i stojące wydało by mu się nie do picia.

Gdy Edmund wszedł a ojciec zajęty był toaletą, rozpoczętą po podróży od kąpieli... nie można się z nim więc widzieć było, póki by się nie ubrał. Dobrą godzinę najmniej miał młody hrabia przed sobą i poszedł z Margockim do jego mieszkania na dół.

— No, Margosiu — ciężka na ciebie przyszła godzina — odezwał się do niego — mama, papa i ja... Trzy błagające dłonie a raczej garście, któreby jak najwięcej pochwycić i ścisnąć chciały!! Wyłysiejesz do reszty...

Plenipotent się nśmiechnął.

— Z próżnego i... Salomon nie należy — rzekł — przedstawię rachunki... okaże wydatki... a co zostanie... zabierzecie.

— Tylko ci z góry powiadam ja na rachunki nie pa-

trzę. mama ich nie rozumie, ojciec się nimi nudzi... rachuj jak chcesz a pieniądze żeby były. To moje ultimatum.

— A jak nie będą? — spytał Margocki.

Edmund się zamyślił: — No to od czegoż ty i twoja głowa? pożycz...

Plenipotent się roześmiał.

— Bajeczna to rzecz dostać pieniędzy!...

— Ty umiesz i bajeczne czynić rzeczywistością...

Przegadali tak aż do godziny w której się wyjścia ojca mógł spodziewać syn. Poszli. W chwilę po ich przybyciu do saloniku, drzwi się otworzyły, i stary wszedł z niezmierną czułością, wesołością, żywością ściskając syna, któremu się przez szkiełko przypatrywać zaczął.

Margockiemu podał rękę.

Mówił tylko po francuzku.

— Ty mój Margosiu — coś mi postarzałeś... Edmund zmęźniał...

Hrabia prosił siedzieć syna jakby gościa, sam siadł, dano znać o obiedzie, przeszli do małej jadalni. gdzie kamerdyner przybyły ze starym urządził jak mógł ce *manvais diner* i zapowiedział panu, że tego dnia musi się zaspokoić tem co było, inaczej by bowiem jak Lndwik XIV, naraził się na—czeka nie!

Gospodarz był do tego przygotowany i jak mówił, il *faisait bonne mine à manvais jen*.

Rozprawiano o kursach, o koniach, o wodach — o polityce, o różnych znakomitościach stałego lądu i w. Brytanii. Hrabia był ożywiony i werwy pełen. Przy nim gaśli wszyscy.

Nareszcie po czarnej kawie, po likworze, po cy-

garze. kamerdyner podał kapelusz i białe rękawiczki, hrabia wybrał się pozdrowić żonę. Syn i plenipotent składali orszak jego. Na przyjęcie gościa hrabina kazała oświecić wielki salon, przywdziała suknię w której była raz w Tuileryach, słowem wystąpiła wiedząc że to mężowi będzie przyjemnem.

Z daleka patrzący byłby poprzysiągł iż tych ludzi dwoje co najwięcej dobrami byli znajomemi, i dobrami przyjaciółmi. Rozmowa nie tknęła nic poufalszego, ojciec tylko spytał dla formy o drugiego syna... a potem wzajem sobie przy herbacie opowiadając anegdoty z wielkiego świata. ona co jej mówiła cesarzowa i księżna Metternich, on co mu powiadał Lord Clarendon i Gladstone... przesiedzieli najmilej do północy, dali sobie dobranoc... i rozstali się zachwyceni sobą.

— Wiesz Carito — odezwała się po wyjściu męża hrabina do towarzyszki — hrabia jeszcze dziś jest jednym z najpiękniejszych mężczyzn w Europie. *Quelle prestance! quel air grand seigneur!* I, powiadam ci, że nic nie starzeje... endownie zakonserwowany.

W tej samej prawie chwili — hrabia mówił Margockiemu: — Hrabina nieco ntyła... ale co za świeżość twarzy! jaki blask w oczach... wcale jeszcze ładna, a wiesz, że ma lat pięćdziesiąt... *C'est moi qui vous le dit.*

Tegoż wieczora gruchnęło na folwarku. po miasteczku że hrabia przybyć raczył. Wiedzano że by wymagającym i że oddanie mu należnego hołdu przez osoby na jego ziemiach osiadłe, uważał za obowiązek. Przygotowano się więc nazajutrz spytawszy o godzinę. Zwykle w takich razach zbierało się co żyło we

frakach do salki w oficynie, na godzinę jedenastą. Tu czekano od kwadransa do trzech — drzwi się otwierały i dostoyny pan wchodził w rannym surducie pozdrowić swych wiernych... poddanych... Zresztą grzecznym dla nich był nadzwyczajnie, ale grzeczność jego mroziła i odpychała. Jako dobry katolik — co do form zewnętrznych — księży witał naprzód, potem obchodził do koła wszystkich i łaskawie pozdrawiał z kolei słowem lub dwoma. Jeśli zaś kto miał nieszczęście na nielaskę zasłużyć, karany bywał milczeniem. Po odbytej ceremonii uciekało wszystko, szczęśliwe że się jej zbyło... do domów, a czasem ksiądz lub ktoś potrzebny zostawał, jeśli naprzykład, zamierzano u niego dostać pieniędzy.

I tym razem ceremonia powitalna odbyła się uroczyscie. Ostójski przybył także z tą białą rękawiczką w ręku, a że Margocki dawno już o zamożności jego mówił, hrabia uczcił go, na wypadek gdyby miał potrzebować, kilką słowy miłemi i uśmiechem uprzejmym. Z ks. Kanonikiem zagadał hrabia o Rzymie i złośliwości Włochów, o żuawach papieżkich, o nadziei pewnej, iż dawne ziemie oderwane od państwa kościelnego przywrócone zostaną...

Po kwadransie wszyscy jak zawsze rozeszli się, hrabia siadł odpocząć. Edmund poszedł do matki, został tylko powstrzymany Margocki, bo hrabia się chciał od niego o interesach dowiedzieć.

— Siadaj że, proszę cię bez ceremonii. — Tak się rozpoczęła rozmowa.

— Chciałbym się coś dobrego od ciebie dowiedzieć o interesach! Mów mi! La pauvre chère comtesse, pewnie potrzebuje pieniędzy, ja ogromnie,

ogromnie, przyjechałem niemając trzech tysięcy franków w kieszeni. Edmund mówił mi że ma długi. No, cóż ty nam dasz?

Nie będziemy szczegółowo spisywali bardzo ciekawej rozmowy hrabiego z plenipotentem, przeciągnęła się ona bardzo długo i zostawiła po sobie wrażenie przykre na dostojnym panu. Posądzał nawet plenipotentą o nieudolność, ociężałość lub... któż wie? o co gorszego może jeszcze... Bo jak to być mogło żeby nie było pieniędzy??

Gdy ludzie tego rodzaju potrzebują ich. niema najmniejszej wymówki, pieniądze muszą być — jest dla nich rzeczą oburzającą aby im, odmawiano le premier necessaire, które często stami tysięcy się liczą. Ale jakże żyć comme un manant?

Hrabia wcale zadowolonym nie był z plenipotentą, ukazującego same trudności, szkopyły... ciężary, niepowodzenia. Dla ukarania go zasępił się i był najpewniejszy. iż brwi zmarszczone i groźba niełaski wszystko to zmienić muszą.

Zaczęto pod koniec rozmowy o panu Edmundzie, o jego życiu, o wydatkach i t. p. Margocki miał ten dobry system iż ojcu zawsze mówił sous le sceau du secret na syna, synowi na ojca, matce na obu.

— Pan hrabia wie jak ja całą rodzinę kocham i szanuję, a pana Edmunda wielbię — ale mnie on smuci... Bo cóż to za życie?

— Co? traci? traci? na kobiety?

— No tego nie powiem żeby tak wiele... une actrice.

— Przystojna? widziałeś?

— Bardzo ładna niemeczka.

— Hm! il faut que jeunesse se passe.

— Ale jużby też czas pomyśleć o ustaleniu losu, o małżeństwie. Hrabia ma zbyt miękkie serce,—dodał śmiejąc się niby dobroduszenie, — miałem tego dowód świeży.

— A! a! powiedz że mi to!—zawołał hrabia...

— To nawet trochę nadto seryo jakoś wygląda, — dodał Margocki,—formalnie zakochany, oszalały w córce Ostójskiego, dzierżawcy.

— Allons donc!

— Tak dalece, że z hrabią roztrząsał szanse ożenienia.

— Allons donc! czy waryat?

— A hrabina z tą swoją anielską dobrocią zdawała się mu nietylko nie sprzeciwiać—ale potakiwać... Dla tego potrzebowałem hrabiemu to powiedzieć, boć należy temu zapobiedz.

— Najgorzej jest w takie rzeczy się mieszać,—rzekł stary hrabia,—nadaje się im ważność której nie mają. Niebezpieczeństwo jeśli jakie grozi to tej biednej dziewczynie... no! ale co mi tam do tego! niech ojciec pilnuje!

Margocki więcej nie nalegał, potrzeba mu tylko było rzucić wiadomość, aby później do niej przyszyć co wypadnie.

Chociaż pani hrabina gościła u cesarzowej i była w przyjaźni z księżną Metternich, gdy okoliczności zmuszały ją do pobytu na wsi, obchodziła się takim towarzystwem jakie mieć mogła, byle nie została samą. Z przyjazdem hrabiego który nierównie był w wyborze trudniejszym i mniej przystępnym, w pałacu musiało się wiele zmienić. Wprawdzie hrabia nie rozka-

zywał, nie mieszał się, nie przeszkadzał, ale umiał obejść się swem, miną, jednym niczem okazać do-
tkliwie czyja przytomność była mu nieprzyjemną. Je-
dnym ze środków przezeń najpospoliciej używanych do
odpłaszania ludzi, było ignorowanie ich zupełnie.
Tych, których sobie nie życzył, nie widział, nie słyszał,
nie znał: nie mówił do nich, unikał spojrzenia, nie od-
powiadał na pytania, słowem obchodził się z niemi jak
gdyby ich tam nie było. W ten sposób nie używając
gwałtownych środków, umiał się w końcu pozbyć każ-
dego. Zaraz następującego dnia zobaczywszy w pała-
cu zwykle towarzystwo, ks. Wikarego który zwał się
kapelanem, pana Juliana, którego mianowano dokto-
rem anticipative, naostatek pannę Zofię z panną
Klarą, hrabia rozpoczął postrzeżenia swe i postano-
wił w duchu oczyścić pałac z żywiołów napływowych,
które mu się nie podobały. Kapelan uzyskał amne-
stye już dla swej sukni, już przez to że mówił biegle o
książętach rzymskich i kardynałach z którymi, jak
utrzymywał, poufale obcował, Julian nie zbyt mu się
podał, lecz względem niego postanowił do czasu za-
chować się nentralnie, co się tyczy panny Zofii i ciotki,
na to spojrzawszy z ukosa, hrabia nie rozbrojony
wdziękiem pierwszej, ani wdzięczeniem się drugiej,
powiedział sobie że je wyprawi na folwark.

Dla samego syna nie chciał tolerować ich pobytu
i odwiedzin w pałacu częstych pod pozorem muzyki.
Zaledwie się pannie Zofii skłoniwszy, nieodpowie-
dziawszy ani słowa na wyszukany komplement panny
Klary, stary pan szukał tylko środka grzecznego oka-
zania tym paniom ażeby poprzestały bywać w pałacu.
Z mężczyznami nierównie łatwiej, z kobietą bardzo

trudno, niegrzecznym bowiem we własnym domu ani być mógł ani chciał.

Zaraz pierwszego wieczora gdy Zosia wedle swego obyczaju wcale nie zmiészana przytomnością hrabiego. śmiało gwarzyła i wypowiadała myśli swoje z dziecięcą naiwnością i odwagą. hrabia wysłuchawszy szczebiotania, poznał że miał do czynienia z niepospolitą istotą.

To go więcej jeszcze nastraszyło. Nie odzywał się wcale do niej, udawał że nie patrzy ale uważnie słuchał rozmowy jej z hrabiną, z Caritą i synem. Śmiałość, świeżość myśli, spokój z jakim mówiła mocno go zastanowił. Dziedziczka milionów i wielkiego imienia nie mogła być śmielszą. Urok młodości przytem... nowość... nie był do pogardzenia. To co w opowiadaniu Margockiego wydało mu się wcale obojętnem, teraz po lepszem przypatrzeniu z bliska, nabierało groźnego znaczenia. Edmund wcale nie zważając na ojca był nadskakującym i nieczmiernie czułym dla Zofii.

Hrabia powrócił do swych pokoiów zamyślony. Synowi nic mówić nie chciał, nie było to w jego obyczaju... pannie dać poznać nienkontentowanie nader zdawało się trudnem, a jednak, coś było począć potrzeba.

Hrabia zostawił stanowczą decyzję czasowi. Następných dni zachował się jak obojętny widz tylko, ale oko miał nader trafne i najmniejszy ruch a skinienie mu nie uszło. Dopatrzył się tu nawet rzeczy których nikt nie widział.. i o których nie wypadało mu też mówić nikomu.

Upłynął tydzień od przybycia hrabiego... na pozór nie zmieniło się nic w pałacu... Stary wszakże do

nowych gości swej żony nigdy słowa nie powiedział, nie zapytał, nie wszedł w rozmowę. Z jednym Wikarym czasem parę słów zimnych zamienił.

Po tygodniu gdy wszystko zdawało się iść już swym trybem bez najmniejszej z jego strony przeszkody... jednego poranka, namysliwszy się hrabia napisał bilecik i oddał go swemu kamerdynerowi z poleceniem, aby go ktoś niepostrzeżenie odniósł na folwark... Kartka ta bardzo złą polszczyzną napisana i nieczytelna, zapraszała pana Ostójskiego, ażeby był tak grzeczny i nazajutrz o godzinie dziesiątej hrabiego odwiedził.

Ostójski, który zwykle wszystkie interesa z Margockim kończył, a z hrabią nigdy żadnego nie miał i mówić z nim nawet nie umiał, niezmiernie się temu zaproszeniu zdziwił i zafrasował, gdyż inaczej wytłómaczyć go sobie nie mógł jak — potrzebą pożyczania pieniędzy — i to grubych. — Ulokować zaś na odłożonych dobrach na czwartym lub piątym numerze po landszafcie sumę znaczną, było toż samo co ją na wieki stracić. Wymówić się nieposiadaniem jej nie było sposobu znowu, bo zdrajca Margocki mógł o obrocie kapitałów szlachcica doskonale zawiadomić.

Nie powiedział zrazu nikomu o zaprosinach Ostójski, kabalę pociągnął, nie wyszła, był zły...

Trzeba było nazajutrz iść do pałacu o godzinie dziesiątej... rodziło się wszakże dla szlachcica pytanie którego on bez rady osób doświadczniejszych rozwiązać o swej sile nie umiał. W surducie iść, jako zrana, czy we fraku, jako do excellencyi i jurisdatora? Nie chciał chybić jemu ale też i sobie, okazując się nieobeznanym ze zwyczajami światowemi. Instynkt dy-

ktował surdut, obawa tradycyjna przed jasnie wielmożnym—frak i ową znowu nieśmiertelną rękawiczkę białą. Pociągnął kabałę na frak, — nie wypadła. los więc oświadczał się za surdudem. Rodziły się zatem skrupny. Hrabia był niesłychanie dumny, był szambelanem bodaj dwóch dworów, kawalerem kilku wysokich orderów, miał gwiazdę... Ostójski nczuł się tak niepewnym iż musiał zwierzyć się siostrze...

Panna Klara wysłuchiwała petycyi milcząca i głęboko zadumana — nie wydała wszakże natychmiastowego wyroku, ważyła długo co za i przeciw powiedzieć się dawalo.

— Widzisz, kochany bracie, — odezwała się złagodzona względem niego wdzięcznością za to że ją do rady wezwał,—widzisz... to pan z panów... i twój bądź co bądź chlebobdawca. siedzisz na jego majątku... znasz dumę... włóż frak...

Byłby Cześnikiewicz włożył go niechybnie, gdyby z wielkiej gorliwości o to aby się wydał świeżym choć nim nie był, nie wzięła go w opiekę panna Klara i nie postanowiła odprasować. Żelazko było gorące bardzo, służąca weszła pytać o rozkazy, zbyt długo pozostawione na pole fraka... spaliło ją najnielitościwiej, do dziury.

Rozpacz panny Klary odmalować się nie daje, chociaż ona nie nie była winną, tylko ta głupia służąca która weszła nie wpore i stała się katastrofy przyczyną. Drugi z rzędu frak—nader podżyły i o białym dniu nie możebny, służywał tylko na te baliki i wieczory w sąsiedztwo gdzie zawsze sosem oblewano i świece kapąły. Przy świetle był jeszcze uchodzący.

ale o godzinie dziesiątej nadto na nim znaczne były wszystkie blizny w mnogich walkach odniesione.

Poszedł więc Ostójski — tak chciało przeznaczenie — w czarnym surducie spiętym na jeden guzik żółdkowy, ale w kamizelce białej i cylindrze. Wpuszczono go natychmiast i to nie do sali audyencyonalnej, ale do gabinetu hrabiego, co było już dowodem szczególnej łaski. Hrabia miał na sobie przepyszne ranne ubrańko z lekkiej flaneli a na głowie fezik nader zręcznie ułożony. Pozdrowił Ostójskiego uprzejmie, wskazał mu krzesło, sam usiadł nachylając się ku niemu, i rozpoczął rozmowę.

Nim z niej jednak zdamy sprawę, poprzedzim ją małą uwagą ku zrozumieniu potrzebną.

Ostójski był bardzo łagodnym, dobrodusznym i pokornym nawet człowiekiem, to nie ulegało wątpliwości. miał jednak słabe i drażliwe w sercu punkta których dotykać nie należało — bo tu, jak za przyciśnięciem sprężyny odzywała się i buta szlachecka i obrażona miłość własna i krew gorąca, którą powierzchownie jak lawę wulkanu czas ostudził, choć pod spodem rozplamieniona jeszcze płynęła... Tych odcieni charakteru mało kto z najbliższych Ostójskiemu był świadomy, a cóż dopiero hrabia który go znał tylko jako potulnego swojego dzierżawcę, wyglądającego na hreczkosieja, szczęśliwego gdy go laskawe słowo z ust pańskich zaszczyci.

— Mój kochany panie Ostójski. — rzekł hrabia powoli. — daruj mi żem acana dobrodzieja fatygował, mam do pomówienia. Znam go jeśli nie osobiście to ze stosunków naszych zdawna, jako godnego człowieka.

Ostójski wstał z krzesła, ukłonił się, kapelusz upuścił, podjął go i słuchał.

— W delikatnej całej materji, zmuszony jestem przemówić do niego.—Hrabia westchnął.

— Acan dobrodziej sam ojcem jesteś...

Ostójski znowu się skłonił, ale kapelusz aż zgniótł tak trzymał, żeby mu powtórnie nie upadł...

— Jest rzecz taka... hrabia Edmund, człowiek młody, niedoświadczony, znać miękkiego serca i płochy, widzi mi się do córki asindzieja, pięknej paumy Zofii zbyt niu okazywać afekt. Bardzo mnie to zasmuciło, bo i dla panienki to gra niebezpieczna, i naturalnie — nie z tego być nie może — i chłopiec się durzy napróżno... Trzeba na to szukać rady i temu zapobiedz... aby się to nie przeciągało...

Ostójski słuchając zrazu uszom nie dowierzał, potem zczerwieniał cały jak rak, zakrztusił się bo czuł że mu krew napływa do głowy... i choć hrabia zamilkł, dając mu czas do odpowiedzi, słowa wyjąknąć nie mógł.

— Niepodobna żebyś pan lub siostra jego nie dostrzegli tego, żeby ojciec tego nie wiedział, muszę więc przypuszczać,—dodał hrabia,— iż może rachujecie na słabość młodzieńca, matki i moją, a czuję się w obowiązku oświadczyć mu iż ta rachuba onyli...

Ostójski pod koniec zerwał się zburzony, zadławiony gniewem, zapomniawszy zupełnie że mówił z ekscelencją gwiazdzystą i jurisdatorem.

— Panie hrabio, — zawołał głośno i prawie krzykliwie.

Hrabia za rękę go chwycił.

— Na miłość Boga, tylko ciszej!

— Panie hrabio,—wyrывая rękę krzyknął Ostójski.—moja córka... moja córka... ja, mości dobrodzieju, nie potrzebuję żadnych podobnych rachunków...

— Tylko ciszej. proszę cię i nie gniewaj się, panie Ostójski.—rzekł hrabia skłopotany nieco,—no! to dobrze. to bardzo dobrze! więc cicho, zgoda... niech tylko w pałacu nie bywa.

— Aleśmy my, mości dobrodzieju. panie hrabio, — dodał Ostójski jeszcze bardziej rozjątrzony, — wcale się tam nie cisnęli. Nie żądni jesteśmy towarzystwa do którego nie nawykliśmy, mamy swoje. Córka moja udała się tam na wyraźne zaproszenie i naleganie pani hrabinej. Żadnych koperczaków do mojej córki. gdybym je widział i one przypuszczał — nie dopuściłbym... bo córka moja partyę sobie odpowiednią znajdzie...

— Tylko nie gniewaj ze się. mój panie Ostójski, — rzekł hrabia zmieszany, — nie bierz tych rzeczy tak gorąco... nie urażaj się. Rozumiesz to bardzo dobrze iż ja dla mojego syna partyi odpowiedniej i majątkiem i imieniem szukać muszę. a nie...

Ostójskiemu oczy krwią zaszczyły.

— Ale ja także! ja także! mości dobrodzieju! panie hrabio. Ja w tem szczęścia córki nie widzę żeby poszła za panicza którego by rodzina krzywo na nią patrzyła. Zosia ma swoje sto tysięcy talarów gotówki, czego czasem i księżniczki nie mają, ma pocziwe imię. młodość. rozum. a z tem się prosić nie potrzebuje aby ją kto wziął.

Ostójski był tak zburzony i gniewny iż obawiając się aby mu język nie poddał jakiej niedorzeczno-

ści, natychmiast, mimo że hrabia usiłował go usmie-
rzyć i zatrzymać, uklonił się i z impetem wielkim wy-
szedł.

Nie wiedząc co począć a uczuwszy dopiero iż po-
pełnił wielką niezręczność, nie ohrachowawszy dobrze
charakteru szlachcica, hrabia pozostał w gabinecie
blady, zmieszany i sam na siebie gniewny. (Zul bo-
wiem iż to wystąpienie musi za sobą pociągnąć skutki
nieprzyjemne... Lecz co się stało, odstać się nie
mogło.

Ostójski wybiegł raczej niżeli wyszedł z oficyny,
szczęściem że go nikt nie widział, pogięty kapelusz,
zapomniawszy o znajdującej się w nim rękawiczce,
wbiał na głowę tak iż białych palców część zwiśla mu
na czoło, czego w wielkiem rozgorączkowaniu nie
czuł, opędzając się rękawiczką nihy umchem natręt-
nym. Sam nie wiedział jak się dostał na folwark...
W kapeluszu na głowie wpadł do pokoju w którym
córka grała na fortepianie, rzucił się do niej całując ją
i sciskając — stłumionym powtórzywszy kilkakroć
głosem.

— Od dzisiejszego dnia... ani noga twoja w pałacu...
proszę i rozkazuję.

Na głos ten wpadła jakby przecznwająca coś
panna Klara.

— Styszy siostra, — zawołał Ostójski. — jam oj-
ciec tu i mam prawo dyspozycyi, od dzisiejszego dnia,
chociaż by postokroć zapraszana, nikt nie pojedzie do
pałacu. Stosunki są zerwane. Ja tak chcę i dyspo-
nuję.

— Ale cóż się stało? — zapytała panna Klara.

— Nic się nie stało, tylko ja ojciec, głowa domu i chcę by tak było i — rozkazuję.

— Zawołać Jakóbka.

Panna Klara stała niema.

— Proszę mi kazać zawołać Jakóbka...

Jakóbek był chłopak pełniący różne funkcyje, lokaja, kamerdynera. woźnicy a nawet dozorecy w polu. Przeważnie jednak półniski roznosił i posługiwał w salonie.

— Zawołać Jakóbka! — po raz trzeci powtórzył pan Ostójski. aż sama Zosia pobiegła po niego, czemu się nie sprzeciwił. Tego czasu użyła panna Klara aby go spytać znowu.

— Ale cóż bratu jest?

— Nie mi nie jest i proszę mnie o nic nie pytać. Dysponuję bo mi się tak podoba... W tej chwili Zosia wbiegła prowadząc ze sobą Jakóbka, który w pośpiechu nie mając czasu przywdziać surduta. zjawił się w granatowej kamizelce.

— Jakóbek mnie wysłucha z uwagą i spełni co do joty to co mu powiem. Słyszysz — co do joty.

— Słyszę panie.

— Włożysz surdut naprzód, porzucisz wszelką inną robotę, kto inny cię zastąpi. staniesz w ganku i będziesz stać od godziny 10 rano do wieczora. Jeżeliby kto przyjechał lub przyszedł z pałacu, hrabia dziedzic stary czy młody, czy ktokolwiek bądź — zastąpisz mu drogę i powiesz wyraźnie i dobitnie, że państwa nie ma w domu. A jeżeliby się wniósł npierał, — zamkniesz drzwi pod nosem — słyszysz?

— Słyszę, proszę pana — rzekł Jakóbek, — ale oni

widzą i wiedzą kiedy państwo są u siebie — cóż ja będę kłamał?

— Tylko mi ty nie teologuj i nie kręć, — zawołał Ostójski. — dla wszystkich my jesteśmy w domu, a dla nich — nie. Jakóbek gębę otworzył.

— Zrozumiałeś?

— Rozumiem, proszę pana, to tak jak w mieście, gdzie choć kto jest doma, nieprzyjmuje...

— Jeśli spytają o mnie — nie ma. o pannę Klarę, — nie ma, o pannę Zosię, nie ma. Nie ma i nie ma.

— A dopóki to ma być?

— Póki cię ze sztyldwachu nie zdejmę, — rzekł Ostójski. Dobył sakiewki z kieszeni, dostał z niej talara bitego i dał chłopcu — porzuć wszystko i idź na wartę w ganek.

To rzekłszy spocony, zmęczony, rzucił się Ostójski na kanapę i uznojone czoło sparł na dłoni. Zosia i panna Klara stały nad nim milczące nie śmiejąc go nawet zapytać co się stało. Rzadko go widywano w tym stanie, a gdy był podrażniony, wiadano iż mu się trzeba dać wysapać, dopiero sam potem udobruchały z serca ciężar rzuci i wygada się.

Panna Klara zrozumiała tylko jedno, iż jej dla Zosi nadzieje rozchwiane były, iż coś stawało tej miłości na którą ona rachowała — na przeszkodzie.

Zosia przyjęła to obojętnie, dla niej jakkolwiek pałacowe towarzystwo było dosyć przyjemnem. ceniła je głównie z tego, że tam teraz częściej Juliana spotkać, spojrzeć na niego i śledzić go mogła.

Ostójski siedział długo oparłszy głowę na dłoni, wzdychał, kręcił się, mruczał. ureszcie oczy odsłonił i zobaczył już tylko Zosię samą, która z troskliwością

dziecięcą, w milczeniu siedziała czekając aż ochłonie...

— Ty tu jesteś? spytał cichym głosem, — dobre dziecko? Prawda? nie gniewasz się na mnie? nie?

— Za co?

— Za to, że cię towarzystwa pałacowego pozbawiłem... ale niech ich tam wszystkich... wezmą. Nam nic po niem, nie... Toć przecie ludzie z innej gliny i innego gatunku. Co nam po nich, co im po nas? Pókiśmy im gotowi jak pudle na dwóch łapach służyć, póty dobrze, ale uchowaj Boże myśleć się o równe upomnieć prawa...

— Mój tatko — o cóż poszło?

Ostójski pomyślał trochę. jakby rozważał czy, ma jej wszystko powiedzieć, potem rzekł:

— Na co ci mam taić. Stary hrabia mnie wezwał dziś rano. aby mi oświadczyć, iż my napróżno rachujemy na bałamucenie jego syna... bo on się w żadnym razie z tobą nie ożeni... A razem prosił... abys ty nie bywała w pałacu.

Zosia skoczyła zapłoniona, gniewna jak ojciec, uderzając w rączki.

— A ty? a ty? — spytała.

— A jam mu powiedział, że my nikogo ciągnąć nie potrzebujemy, że my... tego. No, dosyć żem mu szpetnie zmył głowę i wypadłem. Teraz trzeba się innej dzierzawy starać. bo gdyby oni mnie chcieli, ja ich — nie. I rozumiesz dla czego gdyby kto przyszedł z pałacu zakaz przyjmowania...

Zosia pocałowała ojca w czoło.

— Uspokój się tatku. — rzekła, — proszę cię. Postąpiłeś godnie, święcie... Nie radabym w tej chwili

zład ruszyć, ale — wola Boża! Słuchaj dobry ojcie — konie dysponuj na jutro, gospodarstwo zdaj na Obzorskiego — a my — jedźmy...

— A! ty jesteś złota dziewczyna! — zawołał zrywając się Ostójski, — tyś anioł, ja wiem i czuję twoją ofiarę... ale trzeba jechać. Jedźmy... jedźmy! dokąd?

— Dokąd chcesz — mnie wszystko jedno. Jutro — dziś, jeśli można.

Zosi łyzy się kręciły, ale i ona oburzona była, krew młoda w niej kipiała.

— Dokąd chcesz ojcie... byle prędko...

Ojciec rzucił się ją całować i ścisnąć, popłakali się oboje. Na tę scenę weszła panna Klara zdumiona, trochę kwaśna.

— Cóż to za czułości? — spytała...

Ostójskiemu humor nagle powrócił.

— Siostro Klaro, — odezwał się — hora canonica, każ dać wódki i piernika... i niech ich... wezmą!

— A ja o niczem nie wiem! — z urazą szepnęła stara panna, — mnie trzymacie w dręczącej nieświadomości przedmiotu waszych gniewów, rozczuleń i wesela? Godziż się to?

Ostójski milczał, Zosia szła pocałunkiem przeblagać...

— Mnie zawsze los ten spotyka jakby obcą istotę, westchnęła panna Klara.

Zdziwienie w pałacu było wielkie, gdy Zosia zaproszona na obiad i na przegranie z hrabiną ulubionego jej kwintetu Schumana na cztery ręce — nie przybyła. Czekano chwilę, potem dano do stołu. potem sądzono iż przyjdzie po obiedzie. aż hrabina która swym fantazyom wszelkim, a szczególnie muzykalnym

lubila dogadzać — trochę się pogniewała. Szepnęła Caricie! Czemuż choć nie dała znać jeśli chora, lub jej co przeszkodziło? to — niegrzecznie.

— Ale może by posłać się dowiedzieć? — dodała włoszka. Młody hrabia który podsłuchał rozmowę, ofiarował się pójść sam, szczęściem hrabina nie przyjęła wniosku, skinęła na Juliana.

— Mój doktorze, — odezwała się do niego na ucho, — proszę cię uczynić to dla mnie, przejdź się na folwark i dowiedz co się tam dzieje. Panna Zofia przyrzekła mi być na obiedzie i grać ze mną, nieprzyszła na obiad, zdaje się że już nie będzie i — nie dała mi znać. Więc chyba chora, lub kto w domu.

Julian się skłonił i wysunął rzucając nkośne wejście na Caritę. która przeprowadziwszy go ironicznym uśmiechem do drzwi, zakręciła się po salonie i po zręcznych kilkun obrotach znalazła się przy ks. kapelanie. z którym dosyć rozmawiać lubila. On też zapewne w celu nawrócenia zbłąkan-j owieczki. nie unikał jej. Hrabina z Margockim i Edmundem sposobili się do ulubionego staremu panu whista z dziadkiem.

Julian który od niejakiego czasu coraz był rzadszym gościem na folwarku, siedł teraz jako wysłaniec hrabiny. nie bez pewnego pomieszania. Towarzystwo pałacowe do którego się bardzo garnął w początku. które mu się podobało niezmiernie. teraz po bliższem w nie tajemniczeniu wcale go nie zaspokajało. Często. bardzo już często tęsknił i żałował chwil swobodnych w wesołym towarzystwie Zosi. Duma wszakże wrócić tam nie dopuszczała.

Dla czego taż sama duma nie czuła się ani dra-
Pałac i folwark. Tom II.

śniętą, ani upokorzoną, obejściem się z nią osób z otoczenia hrabiny — to sobie wytłumaczyć trudno.

Na ganku Julian znalazł pilnie stróżującego Jakóbka, któremu spełnienie powierzonych obowiązków leżało na sercu. Widział z daleka że Julian szedł z pałacu, miał wyraźny rozkaz nie wpuszczania nikogo z tamąd przychodzącego — nastroił się więc we drzwiach i rzekł uroczyście:

— Panny niema, panienki niema i jegomości niema!

Zdumiony medyk słuchał nie mogąc zrozumieć.

— A gdzież są?

— Ja nie wiem (sic) ale nie ma.

— Wyjechali?

— Ja nie wiem, ale nie ma, — powtórzył wyrazicie Jakóbek.

I byłby odszedł już Julian, gdyby Ostójski przez okno nie zobaczył co się dzieje i głupoty Jakóba się nie domyślił. Wybiegł sam w ganek zapraszając Julka... i ściskając go serdecznie.

Jakóbek który sądził, że otrzyma pochwałę, a oberwał burę, wielce został zdumiony.

Weszli do pokoju, gdzie na nich już Zosia czekała z uśmiechem i błyskiem szczęścia na czole... Cioci jakoś nie było, bo zajmowała się przygotowaniami do podróży.

— A to jakaś szczęśliwa gwiazda nam tu was przyniosła! — zawołał ojciec, — boście od wieków nie byli, a myśmy się stęsknili za wami.

I począł go ściskać na nowo.

— Jam przyszedł w misyi i poselstwie, — odezwał się Julian.

— Od kogo?

— Od hrabinej. Panna Zofia przyrzekła jej być na obiedzie i grać z nią. A że nie dała znać co przeszkodziło, hrabina niespokojna przysłała mnie zapytać... czy kto nie chory?

— Nikt nie chory! — odezwał się Ostójski. — tylko, rzecz prosta, ja ojciec, nagle postanowiłem Zosię wywieść na świeże powietrze, nie oznajmiwszy jej o tem, dziś pakujemy tłumoki, nie było czasu nawet posłać przeprosić... jutro jedziemy.

— Jutro? państwo jadą? dokąd? — zapytał Julian, tak nagle?

— Nie. projekt był od dawna, tak się jakoś zwlekło. — rzekł Ostójski, — a że Zosia nie jest przeciw temu... pojedziemy na winogrona nad Ren... albo do Tyrolu... bo jeszcze sam niewiem.

Julian słuchał nie dobrze rozumiejąc, Zosia patrzyła nań... wszyscy zamilkli.

— Przepraszam cię, kochany Julianie, — dodał nagle Ostójski, — na chwilę muszę odejść, zostawiając cię z gospożą moją, ona ci reszty dopowie. Ja zaraz powrócę, mam coś pilnego zadysponować.

To wyjście ojca, co Zofia pono doskonale zrozumiała, nie miało innego celu. prócz dania im czasu aby się z sobą mogli rozmówić swobodnie, bo gospodarz wpadł do swego pokoju i siadł sobie na fotelu, okręcając palec około palca i uśmiechając się do własnego dowcipu.

Julian któryby był mógł szczęśliwym się uczuć z tej darowanej mu chwili, zakłopotanym był tylko mocno... Zosia także.

— Przecież — odezwała się, — choć hrabinie winni jesteśmy, że pana u siebie widzimy. Szczęśliwsze od

nas palace, bo tam pan codzień jesteś, u nas — nigdy. Czy czarne oczy tej ślicznej Carity tak ciągną?

Julian się zarumienił, tłumaczenie było trudne.

— Te czarne oczy, — rzekł, nie ciągną nikogo, bo chciałyby nadto wszystkich ku sobie pociągnąć.

— Więc cóż tam ma taki urok dla pana? — spytała Zosia.

— Wszakże ja tam i panią codzień spotykam, — rzekł grzecznie medyk.

— A! dziękuję! — roześmiała się Zosia. — ale nie wierzę. Był czas, panie Julianie kiedy... kiedy bym temu dała była wiarę, dziś...

— Dziś we wszystkim się trzeba bronić urokom, — odezwał się Julian. — bo nadszedł czas surowej pracy i ścisłego z życiem obrachunku... z przyszłością.

— A my w waszej przyszłości nie mamy żadnego miejsca! — szepnęła Zosia. — Bezwstydną też jestem, że się o nie upominać ważę? nieprawdaż? żadnego nie mając prawa? Tak... myśmy teraz oboj sobie... Ale przypomnij pan że były chwile gdyśmy snuli tę przyszłość jakoś inaczej i łącząc z sobą jej plany i nadzieje...

— Pani! pani! — zawołał Julian. — na cóż to przypominać. byliśmy dziećmi... świat nam się wydawał jakimś eldorado zamieszkałym przez aniołów — wielu uczuć, myśli, względów nie mieliśmy pojęcia. . Cóżem ja winien że — dziś uczłem się zuchwałym, szaleńcem i wchodzę na drogę rozsądku i obowiązku. Któż pani zaręczy że mnie to wiele, wiele nie kosztuje?

— Doprawdy, ja także teraz nawet się z panem rozmówić nie umiem, — mówiła Zosia — dawniej to

nam tak szło ładnie i dobrze... pół słowa starczyło by myśl przelać, dziś w sta obwinięta jeszcze zrozumiała nie będzie. Pan mnie nie chcesz, ja pana nie mogę zrozumieć.

Julian uczuł się wzruszonym, ale natychmiast pokromił w sobie ten zaród słabości.

No. kiedyż my się zobaczymy? — spytała go weselej Zosia. której oko odgadło uczucie — kiedy i gdzie? — zabawisz pan tu długo? czy my go zastaniemy?

— Wątpię, rzekł Julian. — ja wprędce jechać będę musiał...

— A powrócisz?

— Czyż mogę oznaczyć? Bóg wie jeden...

— Może was matka pociągnie tu, a my z tego skorzystamy ..

Julian obawiając się osłabnąć już brał za kapełusz i drżącą rękę podał Zosi — która ją poufale zatrzymała.

— Czekaj pan. — rzekła z powagą i wzruszeniem. — na odjeździe muszę panu zostawić słowo jedno. którego nie powinienes zapomnieć. Serce moje wstrzymać go nie potrafi — kochaliśmy się dziećmi. dziś — losy nas dzielą. Ja czytam w duszy waszej. lękasz się bogatej dziedziczki.. Wiedz panie Julianie jedno. że ci ta dziedziczka będzie miała czekać póki ty nie staniesz się równie bogatym. Znajdziesz ją wiernej dawnemu uczuciu, spokojnie oczekującą... i ufną w to. że dwa serca które czyste połączyło uczucie. nawet po chwilowym obłędzie powróci do siebie muszą. Na to ci rękę moją daję...

To rzekłszy, nagle się odwróciła i wybiegła. Ju-

lian stał jeszcze uderzony temi słowy; wzruszony. gdy Ostójski wszedł udając pośpiech jakby z dalekiej wracał przechadzki.

Cóż to jest? gdzie Zosia?

— Tylko co wyszła, — rzekł Julian... — a ja muszę państwa pożegnać, bo mi trzeba wrócić zdać sprawę hrabinie.

— Dobrze, — zawołał Ostójski, — idź. spraw się, ale potem wymknij i jeżeli jesteś nam przyjacielem, wróć do nas dziś jeszcze... Spędzim razem wieczór ostatni.

Zosia powróciła wesoła na pozór.

— Łączę moje prośby do ojcowskich... Wróć pan na chwilę...

Julian się wahał — będzie późno!

— Czekamy choć do północy, — rzekł ojciec, bo się msiemy pakować, rachować — a spać się nikomu dziś nie chce.

— Czy mam powiedzieć, że państwo wyjeżdżają?

Ostójski się namyślił. — Kłamać zawsze brzydko, a znowu... oznajmić im. to tak jakbyśmy chcieli być zatrzymywani. Powiedz pan, że rodzinny interes bardzo pilny przypadł niespodzianie, że być może iż jechać wypadnie. A sam przychodź...

— Przyjdiesz pan? — spytała Zosia.

— Przyjdę koniecznie! — rzekł ze łzą jakąś w oku Julian zmieniony i poruszony...

Zosia pogoniła za nim wzrokiem i wyszła do swojego pokoju smutna i szczęśliwa razem..

Julian pospiesznie biegł ku pałacowi.

W tej chwili nie był on już panem siebie. zwyciężyła go Zosia — cała dawna miłość odezwała się

znowu i widział z rozpaczą, że zdobyta z taką pracą obojętność, jednym jej pocziwem słowem została zgruchotaną. Był jej wdzięcznym. ale postanowił się trzymać... Cóż. kiedy teraz na własne swe postanowienia nie wiele już rachował...

W pałacu nikt się nie domyślał rannej owej historyi. jeden Margocki doszedł że był Ostójski, ale po co i w jakim stanie wyszedł. nie wiedział. Przypuszczał że sprawa pieniężna być musiała. Gdy Julian wszedł do salonu, hrabina spytała go głośno:

— Co się Zosi stało?

— Przeprasza najmocniej. ale wina nie panny Zofii tylko ojca. Otrzymali niespodzianie jakąś wiadomość... tyczącą się familijnych interesów, która nagle zmusiła do... pisania... radzenia, a może nawet do wyjazdu zmusi...

— O! mój Boże! ale cóż to jest? — odezwała się hrabina, — jużciż Zofia nie pojedzie?

— Nie wiem zgola, — rzekł Julian.

Hrabia stary grając whista nie stracił słowa z tej rozmowy, chociaż zdawał się tylko kartami zajęty — Edmund odwrócił się cały ku Julianowi.

— Czyżby mieli jechać? — spytał.

— Pan Ostójski sam jeszcze nie wie... — odpowiedział Julian, — mnie proszono w pomoc do pisania listów i będę musiał wracać natychmiast.

Margocki skorzystał z chwili gdy rozdawano karty. odciągnął Juliana w stronę... — Co to jest? pan nie mówisz wszystkiego? czy im się co stało? — zapytał.

— Nie wiem, istotnie nie wiem. — odezwał się Julian.

— Czy jadą?

— Być może, pan Ostójski zakłopotany...

— Strata jaka?

— Nie powiedziano mi...

— Jeśli jadą, to zapewne za dni parę? wtrącił ple-
nipotent.

— Ja myślę...

— Zdawało mi się, — dokończył Margocki, iż wszy-
stkie ich stosunki i interesa znam doskonale, a to coś
zagadkowego, czego nie rozumiem.

Julian się wyknął. W drodze jako mąż bacz-
ny i przewidujący uczynił mocne postanowienie unika-
nia rozmowy z Zosią sam na sam. obawiał się bowiem
aby pod jej wzrokiem nie postradał resztki samoist-
ności.

— Winienem to mej godności człowieka — winie-
nem... jej i sobie... Trzeba wytrwać.

Jakoż wytrwał aż do ganku folwarku, na którym
może przypadkiem czekała nań panna Zofia. Uśmie-
chając się podała mu rękę.

— Panie Julianie, — szepnęła, — teraz gdy ja, sła-
ba niewiasta, jak mówi Ciocia, odważyłam się na wy-
spowiadanie wielkiej tajemnicy, gdy pan wiesz wszy-
stko o mnie, a ja widzę jasno w waszej duszy, nie uni-
kajmyż siebie, nie bójmy się i bądźmy po staremu do-
brymi przyjaciółmi...

— Chodź pan do ojca i pomóż mu liczyć pieniądze
na drogę, a radź dokąd jechać mamy...

Ostójski przyjął gościa w otwarte ramiona, za to
panna Klara bardzo kwaśno. Oświadczyła ona, że
w podróż się nie wybierze i pozostanie przy gospodar-

stwie. Łatwo się dorożnić, iż wyjazdowi była z zasady przeciwną.

— Zosia i mój brat. — mówiła głośno. — mają to w charakterze i postępują sobie bez głębszego zastanowienia. Jechać? jechać? dokąd? nie zdawszy sobie sprawy dla czego i czy wymogi położenia zmuszają w samej istocie do tak stanowczego kroku... Gdy dodamy. — kończyła. — iż dla rolnika chwila ta w przebiegu czasu jest pierwszej wagi... iż to wszystko leży w pilnym wzroku głowy domu... o! co za lekkomyślność nieprzebaczona!

— Ale me rady są zawsze odrzuconemi. mój pogląd uchylony. me życzenia systematycznie poczytywane za niedorzeczne — ja dla nich jestem nieznosną Kassandrą... Dobrze! milczeniem zawrę me usta. zawrę me serce milczeniem; ale zostanie wierna przekonaniom na stanowisku obowiązków...

Ostatnie wyrażenia tak pięknie brzmiały jej samej w uszach. iż gotowa była przebaczyć brata i siostrzenicy, za to że jej nastreczyli sposobność do tak wymownego wysłownia.

Jeden tylko pan Bóg i potroszę plenipotent znał prawdziwy stan interesów hrabstwa... Margocki do myślał się go raczej niż zhadł. obawiał się, bowiem na dno tej przepaści długów zaglądać. Stary hrabia miał swoje długi. miała je hrabina. miał syn starszy, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa młodszy też już się musiał zacząć wprowadzać powoli w tę sztukę...

Margocki wiedział iż interesa były w bardzo złym stanie, że jedno niewczesne wypowiedzenie znaczniejszego kapitału mogło spowodować ruinę. ale ten miecz Demoklesa wisiał od tak dawna na włosku a nie

spadał. iż można się było spodziewać, że się i dłużej potrzyma.

Jedno tylko zabezpieczył sobie plenipotent, to własny odwrót bezpieczny, miał bowiem kapitałik w fandbriefach od czarnej godziny, we własnej kieszeni i w razie kataklyzmu w tej arce mógł się salwować z potopu.

W tej chwili nie grożącej burzy nie zdawało się zapowiadać, — piorun miał uderzyć za jasnego nieba. Bawiono się w pałacu, hrabina mówiła o wyjeździe do Paryża, hrabia wybierał się do Monaco, Edmund myślał o stolicy... gdyż zniknięcie Zosi wymagało jakiegoś serdecznego lekarstwa. Miał podejrzenie wielkie iż mu ktoś tu szyki pomieszał. Ale niewiedział na kim się mścić, na Margockim, czy na rodzicach...

W ostateczności byłby pojechał dla rozerwania się do stolicy, ale nie wprzód aźby ostatecznie powrotem Zosi utracił nadzieję...

Wielka to prawda, że przepelnioną czarę jedna kropla rozlewa — tak się i tu stało. W roku przeszłym Margocki mając sobie przez hrabiego polecone wyszukanie niezwłocznie pięciu mizernych tysięcy talarów, a nie mogąc ich już wyssać z dzierżawców, napadł niejakiego Czółkiewicza szlachcica, który właśnie kawał ziemi kupował i wymodlił z niego żądaną sumę, zaręczywszy honorem hrabiów i wszystkim najświętszem iż te w terminie za rok oddane zostaną. Były one tem nieodzownie potrzebne, że Czółkiewicz zobowiązał się je za majątek nabyty dopełnić. Przyszedł termin, ale nikt o nim nie myślał. Margocki powiedział sobie, że szlachcic może czekać albo kredyt znaleźć; hrabia ani chciał słuchać o tem.. Czółkiewicz

ścigał listami, posłańcami, niegrzecznościami, nic nie pomogło. Wprawdzie dał sobie rady w istocie szlacheć, ale obrażony tą preponderancją pańską i sposobem w jakim się z nim obchodzono. poprzysiągł że swoje talary odbierze. W chwili gdy już o nim nie myślano wcale zjawił się Margockiemu jak statua komandora na uczcie.

Czółkiewicz był prosty człek ale bntę miał szlachecką ogromną; gospodarz. rolnik. nawykły do rozkazywania nie do słuchania, zżymał się na sam cień przemocy i przymusu.

— Co to oni sobie myślą? — barczał przez całą drogę. — myślą że ja się ich zlekne, czy co? A co? zobaczmy. panie hrabio.

Ogromny. barczysty, silny, czerwony. wzrosły jak niedźwiedź, kosmaty. z twarzą rozlaną. z oczyma krwawo zachodzącemi. pasjonat i krzykała Czółkiewicz łagodny był jak karmelek gdy go kto zażyć umiał. ale na sam cień przemocy zrywał się z uzdy jak szalony...

Gdy wpadł do Margockiego, plenipotent zbladł ze wzruszenia, ale nie łatwy także do uchodzenia gdy się pogniewał. startł się zaraz z Czółkiewiczem na ostro.

— Przyrzekłeś waćpan, obiecałeś, dałeś słowo, — zaryczał Czółkiewicz, — oddaj bo będziesz infamisem... Ja wam tu pokażę co to jest szlachecką krwawicę sobie przywłaszcząć! ja swoje muszę mieć! tu nic niepomůže. Mineły te czasy gdy się uboga szlachta pożyczwszy pieniądze kłaniać jeszcze musiała o nie. A mnie co do tego że wy nie macie! Weźcie u lichwiarza, sprzedajcie łyżki. ja moje pieniądze muszę odebrać!

Napróżno go Margocki łagodził, co powiedział to szlachcica jeszcze bardziej rozwścieklało. Od słowa do słowa, jak zaczął temi infamisami sadzić, Margocki mu drzwi pokazał, bo był w pasyi. Czółkiewicz poleciał i zrobił awanturę hrabiemu, który w cały swój majestat uwinąwszy się wytrzymał atak z zimną grzeźnością, na ostatku gdy mu Czółkiewicz począł dopiekać, zawołał kamerdynera i kazał lokajom wyprowadzić natrętą...

Szlacheć silny, lokajami jak gruszkami cisnął o podłogę, stłukł zwierciadło, zgruchotał dwa krzesła i wyszedł odgrązając im. Jakoż rozpoczął proces i wypowiedział smę natychmiast. Położenie było groźne, tmi wierzyliće jakby się ze sm pobudzili sypnęli pozwami o zaległe procenta i kapitały, których termin minęły od dawna.

Zdaje się że Czółkiewicz zawczasu rozgłosiwszy bankructwo, pobudzał do tego. Pozwy i areszta sypnęły się jak grad. Margocki głowę stracił. Widząc to, nadzwyczaj z niego niezadowolniony hrabia wyprawił natychmiast po adwokata Fellerą, który jego interesami prawnymi zawiadował. Feller przybył, miał on dawne obowiązki względem rodziny, Czek to był stary, wystygły, rachmistrz nielitościwy, — nie pojmujący by w rachuby cyfr co innego nad cyfry wchodzić mogło. Z rozkazu hrabiego poszedł zrewidować księgi i przekonać się o stanie interesów.

Po ścisłem wyliczeniu długów i szacunku dóbr, okazało się iż majątek stopniał, i że kapitały i procenta należne pokrywały go zupełnie... Hrabia oczom i uszom wierzyć nie chciał... Feller przyniósł wyciągi i przekonał go że wszystko było straconem.

Edmund wezwany do pomocy przez ojca po raz pierwszy ujrzał też jaką miał przed sobą przyszłość. Hrabinie nie jeszcze nie mówiono, ale ta krzątająca w oficyinach oznajmowała każdemu kto chciał czy nie wglądać, że się coś złego święciło.

Latano z księgami, z papierami, wysyłano posłańców. Margocki zachorował, dostał żółtaczki i nie wychodził z pokoju... Dostać pieniędzy nie było podobna, bo rozgłos interesowi nadany przez Czółkiewicza odstręczał wszystkich. Feller nie tał iż subhastacya była nienchronną, a jeszcze niemożna było zapewnić czy sprzedaż pokryje należności. Położenie jak najrozpaczliwsze zniewoliło Edmunda, który miał stosunki w stolicy i spodziewał się tam coś nzy-skać, wyjechać z poleceniem ojca do dostojnych a bogatych krewnych i koligatów. Krewni wszakże i powinowaci są wyborni gdy się ich niepotrzebuje, dowiedziona rzecz iż w pilnym razie cofają się ze wstrętem od niedelikatnego człowieka, który śmie ich powoływać do spółki w biedzie. Hr. Edmund przejechał się tylko daremnie i powrócił ze smutnem doświadczeniem, iż żadnych nadziei mieć nie można...

Stary pan upadł na umyśle i odwadze całkowicie, po dniach całych rozmyślał, czy opium lepsze czy pistolet... Hrabina coś dowiedziawszy się płakała, modliła się, rozpaczała... Edmund chodził zadumany czując iż on by jeden familią mógł ratować sprzedając siebie i imię.

Poszedł naprzód do Margockiego, który powoli z żółtaczki wychodził, ale jeszcze z pokoju się nie ruszał, a miał przez swego hrabiego, który teraz całą

winę tej katastrofy na niego zrzucał — polecony wyjazd i niepokazywanie się już na oczy.

W części słusznie zarzucono plenipotentowi iż wcześniej o złym stanie majątku nie przestrzegał. chociaż on składał się listami że to wiele kroć bezskutecznie czynił. Jeden Edmund z nim się jeszcze widywał. Margocki w chorobie tej wymizerniał, wychudł, opuścił się tak, że trudno w nim było poznać dawnego salonowego eleganta wiecznie młodego. Ten też z nim i obejście zmieniło się. Edmund wszedł w kapelusz, przywitał się kiwaniem głowy i siadł.

— Słuchaj Margocki. — rzekł, — ja muszę ratować ojca — niema innego wyjścia nad ożenienie. C'est dit. Czy prawda że Zosia ma sto tysięcy talarów?

Margocki który już marzenie swe dawne musiał rzucić, odparł potakującym skinieniem głowy.

— Najprostsza więc rzecz, jeśli ojciec zapewni mi sto tysięcy żebym się z nią żenił, możemy w ten sposób ocalić główny folwark z pałacem, bo resztę landshafta pokryje...

Margocki oparty na łokciu popatrzył i rzekł cicho: — Niech hrabia próbuje. ja się już tu do niczego nie mieszam.

— Tu niema co próbować, — odparł Edmund, — ale należy wprost działać i to natychmiast bo chwili niema do stracenia. Jasno się rozmówić ze starym Ostójskim... niech da sto tysięcy, a sam z siostrą żeby się zupełnie usunął. Pojmuję ożenienie z panną Zofią, ale nie z familią — ojciec się prawie zgadza, matka zupełnie.

Plenipotent słuchał nie odpowiadając wcale. Od dwóch dni Ostójski po kilkotygodniowej przejażdżce

powrócił był na folwark. Przyspieszyła powrót jego odebrana wiadomość o smutnej katastrofie, z której trzeba było ratować także swoje co się jeszcze u hrabiów miało. Na folwarku także czynność była niezmierna, strach i niepokój.

Zosia tylko pocieszała ojca że się wyniosłszy z tąd kupić coś mogą i spokojniej pozostać w domu własnym na przyszłość.

— Cóż ty na to Margocki — no mów.

— Mówilem już, niech hrabia próbnje...

— A ty byś nie był tak dobry żebyś mi pośredniczył w tem? pomógł?...

— Ja? ależ ja nie wychodzę...

— Doktor ci już pozwolił...

— Wprawdzie, — dodał Edmund, — wiem iż sam się tam chciałeś posmąć, lecz sądzę że ci oddawna myśl ta odejść musiała. Byłaby to twoja dla mnie ostatnia przysługa i dowód życzliwości...

— Ale panie hrabio — ja — i nie mogę i — uchowaj Boże, coś przeszkodzi lub się nie poszykuje znown, winę złożycie państwo na mnie. Pan Feller dobrze z Ostójskim znajomy, jemu lepiej przystało o taki interes się z nim rozmówić.

Urażony tą odmową hr. Edmund udał się do ojca naprzód, u którego już był milczące wyjednał przyzwolenie — a upoważniony przez niego posłał po Feller, który w swej czarnej jedwabnej mycce na łysinie, przyszedł ze stoicką, swą zimną krwią na zawołanie.

— Kochany doktorze (Feller był naturalnie *ntrinsque juris*) okoliczność jest następująca. Ratunek jedyny w ożenieniu.

Doktor głową potrząsł potakująco.

— Dzierżawcą u nas jest znany wam pan Ostójski, dobry, stary szlachcic, który ma córkę i sto tysięcy talarów. Córką mi się podoba bardzo, gdy tu bywała w pałacu: stoma tysiącami z landszaftą możnaby utrzymywać główne fundm. Mogę się z nią ożenić. Warniek jeden aby ojciec i ciocia się wynieśli. Niemogę im wzbronić widywania się z moją żoną... lecz naturalnie w pewnych warunkach...

Tu hr. Edmund nieco obszerniej począł warunki te określać. Feller słuchał ręce założywszy w tył, czasem zażywając tabakę, z uwagą wielką, głowę tylko to w lewo to na prawo kręcił.

— Otóż kochany doktorze, ty który nas ratujesz z tego chaosu — dokończył Edmund — weź jeszcze na siebie pertraktację o to z panem Ostójskim. Nigdy on ani mógł marzyć o podobnym dla córki losie... Skorzysta z naszego położenia...

— Czy z nim kiedy była już o tem mowa? — rozpoczął spowiedź prawnik.

— Ojciec mi teraz wyznał iż trochę sprawę popsuł. Powinieneś wiedzieć wszystko, kochany Fellerze. Panna Zofia bywała w pałacu, ja byłem dla niej grzecznym i nadskakującym — hrabia się oburzył na sam cień mezaljansu, wezwał do siebie szlachcica i prosił go aby córka nie bywała w zamku. Późem oni wyjechali zaraz za granicę... No — rzekł Edmund — źle to jest, lecz sądzę, zdaje mi się, że się to da naprawić. Panna, jeśli się nie mylę, będzie za mną...

Feller który tabakę zażywał, nic nie odpowiedział, spytał tylko, czy ma iść zaraz.

— Naturalnie im prędzej tem lepiej — rzekł Edmund,

proszę was... po skruszeniu pierwszych lodów ja sam przybędę...

Doktór wziął paletę, łaskę, kapelusz i wyruszył. Znał on Ostójskiego dosyć dobrze, — ale nie tyle by mógł przewidzieć jak on ten interes widzieć będzie. Sprzedaż imion i handel majątków na tytuły jest rzeczą tak pospolitą i dziś zwykłą, że się nawet po dziennikach trafiają ogłoszenia hrabiów oświadczających iż gotowi są mojżeszowego wyznania się nie wzdrygać, dla stu lub dwóch kroć sto tysięcy. Feller który o niejednej podobnej historii słyszał, sądził iż i tu rzecz będzie możliwą—a w handlu gniewn niemasz. powiada przysłowie — pociągnął więc na folwark. W ganku zastał pana Ostójskiego rozmawiającego z włodarzem swym i zakłopotanego.. Zobaczywszy doktora, gdy go poznał — zawołał :

— A to pan kochany! co za gość! proszę do mnie. proszę...

Zaprowadził go, domyślając się już jakiegoś interesu do swojego pokoju. usiedli tu...

— Cóż? w smutną chwilę przybyłeś tu szanowny doktorze—rzekł Ostójski —jak prawdziwy doktor, ale pono z choroby tej na jaką w pałacu pochorowali, wyprowadzić ich trudno. Zastarzała! cha! cha...

Ostójski westchnął.

— Do kataru, że i my jeszcze odpokutujemy za nich...

Feller był milczący, sparł się na łasce, mruzczał pół słowa. myślał jak to do interesu przystąpić.

— Tak—rzekł —smutna w istocie rzecz widzieć tak upadającą starożytną rodzinę. krajowi zasłużoną... bardzo smutno...

— Jak sobie posłali tak się wyspią — rzucił Ostój-

ski — od dawna to było przewidziane.. tańczyli tak aż do brzegu przepaści. Teraz ratunku niema.

— Zapewne, zapewne, trudny, nie przeczę. ale jeśli się młody hrabia zaofiarować zechce...

Ostójski drgnął, wyprostował się i milczał, coś go tknęło.

— Młody człowiek. z takim pięknym imieniem — mówił Feller, — przystojny, wykształcony — mógłby się łatwo i bogato ożenić...

— A, zapewne. zapewne, niechby się żenił! W istocie to jedna rada! rzekł Ostójski kręcąc palcami...

— Któżby niechciał się skoligacić z rodziną tak znakomitą... na dworze położoną dobrze. mającą stosunki ogromne...

— Ogromne stosunki! — wtórował Ostójski.

— Może wzięść z pół miliona talarów, byle skinął...—mówił Feller.

— Niech bierze! niech bierze! to będzie po synowsku... i rodziców wyratuje... bardzo pięknie. niech uczyni z siebie ofiarę...

— Cała rzecz. że to wszystko tak nagli. gdyby nie to...

— W istocie nagli... sprzedadzą z publicznego targu bardzo nagli...

— Z tego powodu — ciągnął Feller — młody hrabia gotów by. gdyby mu się co trafiło, i mniejszem kontentować...

— Dobry syn! dobry syn... niech się kontentuje czemkolwiek. byle choć fundum ocalić — pałac tak piękny, pamiątkowy... — mówił Ostójski.

— Ja ręczę że sto tysięcy talarów mająca panna, mogła by go teraz mieć...

— Myślicie? — spytał Ostójski, to dla nich byłoby mało...

— Landszafta pokryłaby resztę—rzekł Feller a przy dobrem gospodarstwie...

— No, tak! zapewne! zapewne — wzdychając dodał gospodarz. w ostateczności...

Feller zażył tabaki, zdawało mu się, że rzecz była bardzo dobrze rozpoczęta.

— Coś mi mówiono — począł — że hrabia Edmund bardzo był czuły dla pańskiej córeczki? nie dziwiłbym się... nie dziwił...

Ostójski zrobił minę dziwną. głowę wykrzywił, sięgnął, podniósł i wymówił niezrozumiałego coś.

— Cóż wy myślicie dać córce posagu? spytał Feller.

— Ja? Zosi — a no — rzekł Ostójski. — bez remanentów które też coś warte. myślę że weźmie 120 tysięcy...

— No, to rzecz byłaby może do zrobienia, gdybyście sobie życzyli?

Gospodarz zapatrzył się na palce które były w ciągłym ruchu — nic nie mówił.

— Myślicie? — spytał. — że rzecz byłaby do zrobienia... hm?...

— Tak dalece, — począł przysuwając się Feller... — iż poufnie wam wyznam, jestem posłany dla wyrozumienia was.

— No proszę? dla wyrozumienia! — powtórzył Ostójski.

— I jeśli zechcecie, możecie mieć wnuki hrabięta... a córkę.

— Hrabinią!! — uroczyście dodał Ostójski, — djabli interes, dla takiego jak ja szlachetki i to taniej grzy-

ba. Za nędzne sto tysięcy talarów!.. pokusa! Dokto-
rze pokusa... Jakże? zgodziliby się.

— Są zmuszeni, — szepnął Feller, nie się im innego nie trafia.

Ostójski począł trzeć brodę i wąsy.

— Naturalnie, — mówił coraz ośmielając się Feller,—byłyby pewne warunki.

— Naprzykład? — spytał gospodarz.

— Widzicie, oni mają takie stosunki, że oczywiście, — muszą w wyborze towarzystwa być oględni. Prywatnie familia żony używałaby praw swoich, ale w pewne dni... niepodobna by ciążyła na hrabi. który żonę może imieniem swem uczynić godną najwyższych towarzystw, ale rodziny jej zaślubić całej — trudno mu.

— Bardzo słusznie! — mówił powoli Ostójski, — rodzina powinna znać mores i pójść do nory gdy potrzeba... Tego się nawet spodziewałem, słuszny warunek...

— Widzicie — toby się już łatwo dało doprowadzić do skutku...

— Zapewne, bardzo łatwo, — odezwał się spokojnie Ostójski, — gdybym ja był zapozwoleniem, kpem, a moja córka głupią... Na nieszczęście, kochany Doktorze, ona ma rozum i serce, a ja choć prosty człek więcej sobie moje niepokalane imię szacuję, niż hrabiostwo tych bankrutów.

Ostójski począł się śmiać, widząc osłupienie Doktora Feller.

— Na prawdę, słiczny targ dla kogo innego. tylko nie dla nas... kilka tygodni temu stary hrabia zakazał nam bywać w pałacu posądzając o to, żeśmy balamu-

cili mu syna, teraz gotów by go nam dać, byle sto tysięcy!!... Ha! ha! mój Doktorze, jakżeście się mogli podjąć takiego targu?? prawda — nie znaliście mnie dobrze, a ludzie są różni.

— Za pozwoleniem. — zawołał zmięszany adwokat, — tu niema ani nadzwyczajnego nic, ani czem byście się mieli obrażać. To po prostu interes. Wy jesteście obrażeni... A — ktoś wie? może córka wasza ma inne przekonania?...

— Słuszna uwaga. — rzekł spokojnie Ostójski i podnosząc głos zawołał:

— Jakóbek!!

Chłopak zjawił się we drzwiach.

— Proś tu panny Zofii.

— W milczeniu przerywanem tylko prychaniem ze śmiechu Cześnikiewicza, doczekali się przybycia Zosi, która wbiegła, zobaczywszy Fellerą, ukloniła mu się i zbliżyła do ojca.

— Ten pan ma do asińdzki interes, — rzekł ojciec chłodno.

Feller się kłaniał i twarzy pergaminowej usiłował nadać wyraz przyjemny.

— Przepraszam, — ozwał się. — właściwie byłto interes do papy...

— Nie, nie do mnie, — zaprzeczył Ostójski, — do panny Zofii — hrabia Edmund oświadcza się przez usta swego posła. iż zgadza się poślubić cię. byłem ja mu zapłacił sto tysięcy talarów i dał słowo, że w pałacu nie będę bywał, tylko przez garderobę... No, chcesz? masz hrabiowską koronę.

Zosia zmarszczyła się zrazu. a potem się zaczęła śmiać.

— Państwo sobie ze mnie żartujecie.

— Ale nie — szczerą prawdą, — rzekł ojciec, — jakim szlachcic.

— Wolałabym żeby to był żart, — przerwała Zosia, — bo w takim razie nie byłabym zmuszoną gniewać się i oburzać.

Zakręciła się i podeszła do ojca, jakby u niego opieki szukać chciała.

— Dziwi mnie, że wy, panie, z waszym wiekiem i doświadczeniem, zgodziliście się, — poczęła z nwa-
gą, — iść z taką propozycją do nas... Należymyż do
jakiejsz kasty upadłej, która potrzebuje rehabilitacyi,
która ma płacić za prawo obywatelstwa w salonach,
które dla niej nie są wcale pociągającemi?

— A wiesz że pan, — rzekła coraz żywiej, — że
gdybyście wy nam dawali nie sto, nie trzykroć, ale mi-
liony, ja bym nie oddała ręki temu dla kogo nie mam
ani przywiązania — ani szacunku...

— Daj już pokój, ma dosyć, — przerwał ojciec, —
niema się co burzyć... Dziękujemy za honor i kwita...

Feller zmieszany. wziął za kapelusze i począł
przepraszać.

— Ja się na pana nie gniewam, — rzekł Ostójski, —
oni to winni iż panu nastreczyli myśl tę i przekonanie.
iż z nią do nas trafić można. A — prócz tego — gdy-
bym był złym człowiekiem, powinienbym podziękować,
boć mi przyniósłś wieść, iż ja sobie pałac ten i dobra
kupić mogę za sto tysięcy... A na co mi w dodatku
hrabia?

Feller wyniósł się co najprędzej.

Panna Klara która coś przecznuwszy za bocznymi

drzwiami podsłuchiwała, weszła w majestacie całym oburzenia i gniewu.

— Ślicznie rodzice i córka postąpili sobie. — zawołała. — odepchnęliście szczęście, które wam samo w ręce szło... O zaślepieni! ŚmieJCie się, drugi raz nie przyjdzie ono... Żadnej wzniosłości nczuć. nic szlachetniejszego w duszy... Na co wam Bóg dał pieniądze ja niewiem... ŚmieJCie się — ja płacząc i nie taję się. Los się Zosi nastęrczał... a teraz...

— Teraz, mościa dobrodziejko, zostaniemy hreczkosiejami jak byliśmy. Ja zaczynam pracować na drugie sto tysięcy i Zosia będzie miała przyjemność odmówić jakiemu księciu...

Ostójski śmiał się serdecznie.

— Aleń go zażył. kochanego doktora — aleń go zażył... wypowiadałem do ostatniego słówka... dopiero gdy się wyszeptał... Ha! ha..

Zosia milcząc łzę otarła... popatrzyła w okno, kędyś daleko... i westchnęła.

Pannie Klarze dano się wywnętrzyć z całą jej retoryką... co jej pewną ulgę sprawiło.

Gdy piorun w borze dęb obali. padając gniecie on sobą co dokoła pod cieniem jego rosło, tak samo rodzina około której skupiało się ludzi wiele, ruiną swą pociąga wszystko co się przy niej gromadziło.

Wieść o katastrofie błyskawicą pobiegła po dworze, po okolicy, witana zdziwieniem, przerażeniem, obawą o samych siebie tych. co zaufawszy tak na pozor świetnym bytowi, swoją do niego przytulili dolę. Każdy w tej chwili popłochu szukał naturalnie ratuu-

ku naprzód dla siebie, każdy się zakłopotał o to co się z nim stanie.

Hrabia, hrabina, syn co od lat wielu rozdzieleni byli, w nieszczęściu zmuszeni zostali zbliżyć się, radzić — ratować. W istocie ratunek był tem trudniejszy, iż wypadek całkiem schwycił niespodzianie, wszyscy się oni łudzili pozorem dostatku, nigdy nie zadając sobie pracy wejrzeć w stan interesów. Nie obwiniali wszakże siebie, spadała wina na nieszczęśliwego Margockiego całą. Po cichu hrabia przypisywał upadek zbyt dużym wydatkom żony, ona jego pasy do gry i koni... Część grzechu spadała na hr. Edmunda, który też szafował groszem...

Rozpisano listy do rodziny wołając o pomoc... ale te pozostały bez odpowiedzi. Hrabina płakała, hrabia rozpaczał. Edmund jako jedyną deskę wybawienia podsuwał swoją myśl ożenienia.

Odpowiedź którą przyniósł Feller, złagodziwszy ją znacznie, została powitana grobowem milczeniem. Edmund zaciął wargi, spojrzał na ojca i oświadczył, że jutro jedzie do stolicy...

Margocki zaledwie wstawszy po żółtaczce, kazał rzeczy swe spakować i poszedł pożegnać hrabinę, która go nie przyjęła, hrabia przez kamerdynera życzył mu szczęśliwej drogi, oświadczając że się widzieć nie będzie... Skromnym wózkiem wyruszył plenipotent, a przejeżdżając około folwarku smutny, kazał się tu zatrzymać. Chciał Ostójskiego pożegnać.

— Cóż to się z wami stało, panie dobrodzieju! — krzyknął zobaczywszy go Cześnikiewicz...

— A! no — widzicie, odchorowałem pokutą za cudze grzechy, — westchnął plenipotent. — Nie chcieli

mnie słuchać, brnęli, brnęli, a teraz winę walą na mnie. Taka to sprawiedliwość. gdyby nie ja, dawno by już się to stało, co dopiero teraz ich spotkało...

Strasznieś asindziej zżółkł i wymizerniał, — rzekł Ostójski. — ale cóż — trzeba się z wolą Bożą zgodzić. I ze studni woda się przebierze... Nas to także dotknie, bo z dzierżawy ruszyć się musimy.

— Po co? — spytał Margocki, — pewnie folwarki sprzedawać będą pojedynczo, to go sobie i z pałacem kupicie.

— Z pałacem, nie, — rzekł Ostójski, — obawiałbym się go aby mi się od niego stary łeb nie zawrócił — a mnie on po co? a mnie to na co? Uchowaj Boże... Żyliśmy we dworku po Bożemu, zostaniemy w nim póki życia...

Margocki westchnął jeszcze do niedawnych swoich marzeń o Zosi... i pojechał... Panna Zofia nie wyszła, a panna Klara zajęciem się wymówiła.

Hrabina, która piękne oczy do reszty wypłakała i zapomniawszy o paryzkich kosmetykach, postarzała nagle, oświadczyła, ściskając ją, włosce, iż się rozstać muszą. Carita uroniła także łezkę. uściskała swą dobrą panią i oświadczyła, że jej w tej chwili opuścić nie chce i nie może... Zagadkowa ta istota nie kwapiąc się na powrót ani do Włoch. ani do Paryża — szeptała, że może tu w kraju znajdzie sobie miejsce nauczycielki muzyki lub guwernantki. Ks. kapelan sam także niepewien co z sobą uczyni, przez miłość chrześcijańską zajmował się mocno jej losem i obiecywał, że miejsce jakiego sobie życzyła, da się wyszukać.

Porzuciwszy wikaryą, był on też w niemalym kło-

poćie w pierwszej chwili, lecz ufny w stosunki, wyruszył natychmiast do miasta, aby się o inne wystarać miejsce.

Ks. Kanonik powróciwszy ze swej podróży. nie najlepsze przywiózł wiadomości i choć się przed siostrą tań z niemi, sposepniał bardzo. Miał on tam u wielkiego ołtarza starych znajomych. towarzyszków i przyjaciół. ale nowy obrót rzeczy wyrugował ich z zajmowanych stanowisk — odebrał im wpływ i nie tajono przed nim. że zagrożonym będzie losem wielu innych swych współtowarzyszów, jeśli pewnych następstw z przekonań nie uczyni, od pewnych ludzi się nie cofnie, rękojmi nie da absolutnego posłuszeństwa, nawet w tych rzeczach. które zwykle woli każdego się pozostawiają.

Ks. Kanonik nie mógł przyobiecować czego mu sumienie dotrzymać nie dozwalało. Wysłuchał gróźb, przykładów, zmilczał, pożegnał się i wyjechał. Stać się co Bóg da — wola jego święta.

Nie tajono mu, iż szukano tylko najmniejszego powodu. cienia winy, aby go usunąć. Między innemi popularność zbyt wielka u ludu, troskliwość o jego losy, miłość ogólna za winę mu były poczytywane... Znajdowano że zbyt był tolerującym, a na ostatek najśmiertelniejszym grzechem jaki mu zarzucono był dowiedziony wstręt jego do zakonu ojców jezuitów i uchylanie się od wszelkiej z nim styczności. W tym czasie jakoś przypadły wybory, w których wszelkie współdziałanie. rada i pomoc świeżo były duchowieństwu najsurowiej zakazane. Zakaz ten jakkolwiek z tradycjami kościoła nie zgodny, kanonicznie nie nprawiony — należało poszanować, zostawując zań odpo-

wiedzialność tym co go wydali. Tak postanowił Kanonik, lud wszakże nawykły biedz do niego po radę, obległ go, wyblagał. zmusił do przemówienia słów kilka... Zdaje się że na to tylko oczekiwano i jednego ranka papier z konsystorza pieczęcią zwiastował mu suspense a rozkaz zdania probostwa nowemu administratorowi. Przypadło to właśnie równocześnie z podróżą ks. Wikarego do miasta i ex-kapelan pałacowy zmuszony został, przyjąć administracyą.

Gdy rozkaz ten nadszedł. Kanonik zrazu jakos oczom swoim nie wierzył; łza mu się zakręciła w oczach, popatrzał na lipy i domek. na kościółek... i poszedł do siostry.

— Siostruniu kochana, — rzekł przybierając ton wesoły. — kogo Pan Bóg kocha. temu krzyże zsyła. Dostaliśmy i my krzyżyk z łaski Jego... ale go trzeba nosić błogosławiąc... Odebrano mi moje probostwo... Ale to nic... to nic... Jam już stary... Dworek najmiemy w miasteczku. przecie mi na kościółek patrzeć, i w moim drogim modlić się nie zbronią... Plebania nawet była wilgotna... ty byś była dostała reumatyzmu... a mój by się pogorszył...

Staruszka rozplakała się, zakryła oczy rękoma, lecz prędko niechcąc brata rozrzewniać bardziej utuliła się, łzy zostawiając na noce samotne.

Wieść o odjęciu probostwa Kanonikowi rozeszła się szybko i zrodziła oburzenie. zdziwienie, potem wywołała większe niż kiedykolwiek oznaki miłości i szacunku powszechnego, które stokrotnie za doznana krzywdę zapłaciły. Włoscianie z okolic. mieszczanie, lud, szlachta, płynęła na probostwo ofiarując usługi, pomoc i współczucie serdeczne... Niestety — gorące

te demonstracye, pogorszyły jeszcze sprawę Kanonika, bo je poczytywano za wywołane przez niego, chociaż się od nich wypraszał jak mógł.

Jednym z pierwszych którzy przybiegli na probstwo, był Ostójski z Zosią. Szlachcic bez ceremonii kłął intrygantów co wlaźło.

— Jeśli mnie ks. Kanonik choć odrobinę kochasz, jeśliś mi przyjacielem, jeśli mam łaskę u niego — nie jedź nigdzie, nie przyjmuj. nie zajmuj nic. Gotowa rzecz czeka. Mam dworek w mieście. kupiwszy z musu za dług, który mi kością w gardle stoi — wyjm mi tę kość z gardła. Pustka! rujnuje się, pada — zrobicie mi prawdziwie przyjacielską posługę biorąc go sobie.

To mówiąc ścisnął i wołał coraz głośniejsze. Inaczej być nie może, tak mi Panie dopomóż! Będę się gniewał śmiertelnie... musicie...

Zosia nalegała na matkę Juliana, ale ta nigdy woli swej mieć nie chciała i z radą żadną nie śmiała się odzywać. Kanonik pod naciskiem Ostójskiego, odpowiedział podziękowaniem, ale stanowczo nie przyjął ofiary.

Dworek o którym mowa — stary w istocie, nadrujnowany, ale z pięknym ogrodem i drzewami, wziął Ostójski po mieszczaninie który u niego był tysiąc talarów pożyczył, dopłacając rodzinie. Nie mieszkał w nim nikt bo go Ostójski na wszelki wypadek trzymał, gdyby go jaka burza wygnała z folwarku. Dla Kanonika i jego siostry był za obszerny nawet. Położony u stóp wzgórza na którym wzniesiony był kościółek. w niewielkiem od niego oddaleniu, miły był tem, że z okien jego widok rozciągał się na kościół, starą

plebanią i okolicę... Schronienia dogodniejszego nie mógł znaleźć Kanonik.

Na pierwszą więc chwilę miał już choć dach nad głową, tem potrzebniejszy, iż nowy administrator zjechał zaraz i niewidząc się z ks. Kanonikiem, przez przywiezionego nowego organistę oświadczył, że probostwo na mieszkanie zająć jest zmuszony.

Tego samego wieczora stary Eliasz, który z wielkiego gniewu ledwie mógł mówić, oświadczył Kanonikowi, iż miejsce kościelnego rzuca i z nim się razem oddala.

— Nie, mój stary. — rzekł Kanonik, — proszę cię, żebyś tego nie uczynił — służyłeś kościołowi nie mnie, nie opuszczaj naszych kochanych ołtarzy. Któż je przybierze? kto je tak troskliwie oczysci i ustroi jak ty?... Znieś chwilę przykrą, poddaj się woli wyższej... zostań, proszę cię zostań. Boję się o kościół — tam wszystko com ja starał się posklejać i poznosić powy-rzucać zechcą, ty może obronić potrafisz...

— Ojcie! panie! oni mnie tu zjedzą! oni mnie życie zatrują...

— Kochany stary... pokorą, pokorą. powolnością wiele się czyni. W milczeniu, spokojnie zostań przy obowiązku... jeśli cię rugować zechcą, przyjdiesz do mnie. Ja się nie wiele oddalam — tu pod górą, najwię-
dvorek u Ostójskiego.

Eliasz zapłakał, do kolan się skłonił, nie rzekł już nic, bo niechciał się sprzeciwiać... Nazajutrz nastąpiły przenosiny. Niewiele one kosztowały czasu, bo sprzętu część należało do probostwa, a własność ubogiego Kanonika była bardzo skromna. Zaprzeczono mu wielu rzeczy do których miał prawo — ustąpił

bez sporu... Modlił się w ganku patrząc na tę rumacę, która mu serce rozdzierała, nareszcie spostrzegłszy siostrę, która z zapuszczoną zaslonką głową, wyszła ubrana jak w drogę. ruszył się z ławki... Wejrzeniem pożegnał probostwo i skierował ku kościółkowi. Ten był zamknięty, klękli pomodlić się w progę... Eliasza za niemi... Gdy Kanonik wstał pogodną miał twarz i uśmiechnięte usta — ofiarował Bogu... boleść w jego usługach zyskaną — lekko mu było, bo nic sobie do wyrzucenia nie miał.

Zaszli powoli z góry ku pustemu dworcowi, gdzie Ostójski czekał z chlebem i solą, Zosia z przygotowanym podwieczorkiem. a Klara z wymownem słowem pociechy.

Jednakże mimo wszelkich starań o złagodzenie wrażenia, które przenosiny te uczynić musiały — wszystkim jakoś było smutno. Ostójski niekiedy stawał w oknie i patrzył na probostwo z groźbą w oczach... jakoby chciał nowemu panu powiedzieć — nie będzie ci tam gładko!

Wistocie. Wikary nie wielu znany bliżej, a nikomu miły, zgotował sobie zastępując usuniętego Kanonika życie wcale nie do zazdrości. Lnd który miał zaufanie w starym przyjacielu. stronił od probostwa a szedł do dworku, szlachta umiejąca szanować cnotę, okazywała wszystka zimną obojętność zastępcy. W niedzielę mimo zaproszenia. w święto nikt ani zaszedł na probostwo. Wikary-administrator został odosobniony i naturalnie przypisywał to intrygom Kanonika, chociaż ten najmniejszego nie miał udziału w niczem i słowem żalu nawet nigdy się nie odezwał.

Stosunki z folwarkiem były jak najściślejsze, z plebanią tylko przez Eliasza jeszcze miał jakąś styczność Kanonik. Rano bardzo zwykle mszą świętą odprawivszy, wracał do dworku i tam nad brewiarzem lub książką przesiadywał dzień cały, wieczorem często bywali z siostrą na folwarku.

Julian wyjechał dla zdania egzaminów i pisania swej lekarskiej rozprawy. której miał bronić publicznie — w pałacu panowała cisza przedburzowa. Ostójski też musiał na wszelki wypadek tak swe interesa uporządkować, aby go sprzedaż majątku i możliwe wyjście z dzierżawy. nie zastały nieprzygotowanym.

Stary hrabia siedział w oficynie. hrabina płakała w pałacu. Carita po jakimś czasie objawiła swej dobrodziejce postanowienie założenia pensyi w miasteczku. Zdawało się iż ex-kapelan poddał jej tę myśl. gdyż za nauczyciela do kilku przedmiotów miała go zamówionym i do ogólnego nadzoru nad zakładem. On też pierwszem urządzeniem się zajmował. Na wiadomość o tem stara hrabina podniosła oczy, popatrzyła na włoszkę. pokiwała głową i spytała ją. czy niema może zamiaru wstąpić później do jakiego zakonu? Carita zarumieniała się mocno, a po chwili szepnęła. iż za nic ręczyć nie można jeśli przyjdzie natchnienie. Na tem się skończyła rozmowa. Wkrótce potem do nowo zajętego domu przeniosła się włoszka. przybyła jeszcze jedna podżyła już nauczycielka, wzięta z poręki ks. Wikarego i rozesłano ogłoszenie o otwierającej się pensyi. wedle planu i metody innych, klasztornych urządzonych.

Po wyjeździe hr. Edwarda kilkanaście dni upływały bez żadnej o nim wiadomości, ojciec tem był nie-

spokojniejszy, iż na nim ostatnie swe pokładał nadzieje. Nareszcie jednego dnia hrabina bilecikiem oznajmiła mężowi, iż miała mu coś do udzielenia z listu Edmunda. Hrabia pospieszył do pałacu. Na stoleku zastał list otwarty, który syn, więcej do matki czując zaufania, do niej adresował.. Mniej więcej brzmiał on jak następuje: — Niechciałem nic pisać o sobie dopóki by się coś stanowczego nie trafiło, o czem by donieść było warto. Szczęściem przybywszy do stolicy zastałem tu niczem nie popsute pole, gdyż o naszym nieszczęściu wiadomość jeszcze była nie doszła. Przez dni kilka musiałem odwiedzać moich znajomych, aby wpaść na myśl jakąś, na drogę. Miasto zastałem prawie puste, wszyscy jeszcze byli u wód lub na wsi. Już prawie zwątpilem o powodzenie, gdy mi się nastęrczył baron Sauer. Ani hrabia ani mama kochana nie możecie znać barona Sauer, gdyż i on i jego baronostwo świeżej jest daty. Wyrósł on. wychował się, dojrzał, wygładził się, spotężniał i przywdział tytuł na giełdzie. Niepotrzebuję objaśniać, iż należy do najstarszej na ziemi arystokracji, bo pochodzi z pokolenia Lewi. Pamiętają go ludzie buchalterem w podrzędnym domu wekslowym, potem handlarzem akcyi i papierów, potem w małym sklepiku gdzie pieniądze zmieniał i sprzedawał walory. potem współnikiem jakiegoś przedsiębiorstwa kolei żelaznej. potem bankierem na pierwszym piętrze pod Lipami, naostatek... baronem Sauer i milionerem... Jakże go mam opisać? Im z mniejszego wyszedł, tem dziś jest większym panem, ale co się zowie grand seigneur. Pałac przepyszny, willa cudowna w thiergartenie, ekwipaż jeden z najpiękniejszych, stół luknl-

lusowy, dom otwarty, bale jakich ambasadorowie nie dają... Otarł się przytem tak wybornie, iż w nim owego dawnego buchhaltera ani znać...

Baron Sauer był mi zawsze bardzo przyjaźnym. Zobaczywszy mnie, zaprosił na obiad mężki. Żona jego była na wsi. Pojechałem, było nas kilku z wyższego tutejszego świata dobrych chłopców, radych się poweselić i pośmiać. Przy obiedzie paplaliśmy. Zgadało się o ożenieniu, jam się nie bez celu wyrwał, że mnie celibat nudzi, i że gotów bym się ożenić., Baron podchwycił — naprawdę? — naprawdę. Niemasz hrabia przesądów? — Żadnych, ale wymagam od żony wykształcenia jej stanowi właściwego, młodości i — dokończyłem na dłoni wskazując jak się liczy gotówkę. Baron się roześmiał. *Cela va sans dire?* rzekł. Chcecie się żenić, bierzcie Filipinę Sauer, mojego zmarłego brata i siostrę... Widzieliście ją, ładna jak aniołek a raczej jak szatanik, unczona jak Rachel... i ma trzykroć sto tysięcy talarów posagu... Wiem że jesteście katolikiem i że dla was, sama przyzwoitość wymaga aby żona była katoliczka — ale o to bardzo łatwo — nam wszystko jedno... Filipinę umyślnieśmy zachowali i wychowali... nie dając jej żadnej konfesyonalnej edukacyi, aby sobie religię wybrać mogła... Gdyby się trafił bankier izraelita — mogłaby zostać w wierze ojców, jeśli protestant jnukier. gotowa być protestantką, — a gdy się katolik podoba — będzie katoliczką.

Usmiechnął się pocziwy Sauer, znajdując nadzwyczaj praktycznem wychowanie synowicy — przyznając się. że mnie to wszystko wielce także nęciło. Widywałem już pannę Filipinę, jest ładna, a raczej

śliczna brunetka mała, nos tylko nieco za rasowy... rączka i nóżka cudne, oko dyamentowe, żywa. [dowcipna... i trzykroć sto tysięcy talarów.

— Dobijemy targu, — rzekłem, — byle nie długo myśleć.

— Seryo.

— Zupełnie.

— Mam pisać by żona ją przywiozła?

— Proszę.

Podaliśmy sobie ręce... Zgoda stanęła, Sauer zatarł ręce... Mnie się w głowie kręciło. Powróciwszy do domu zasmuciłem się trochę. Te stosunki! stosunki! pokrewieństwo z Mendelsolnami i Beerami a zatem i Meyerbeerami mogą smakować... mnie com nie muzykalny... ah! tam zaraz w miejscu powinuszowali mi wszyscy, a ktoś zręczny przysięgał się iż dawno we mnie domyslał się miłości dla panny Filipiny. Nieprzeczyłem. Nazajutrz gruchnęło to po Berlinie, nie ręczę, żeby Sauer sam bojąc się mego wycofania, nie roztrąbił. Zatelegrafowano moje oświadczenie do Ostendy.

Po tym pamiętnym mi obiedzie nłynęło dni cztery, jednego ranka otwierają się drzwi i bez anonsowania wchodzi do mnie Baron, ale kwaśny i z wywróconą twarzą, ażem się zląkł. Stał naprzeciw mnie, kiwając głową w milczeniu.

— No, no, podszedłeś nas hrabio, wcale zręcznie...

— Ja? jak? — spytałem.

— Ojciec wasz zbankrutował?!

— Tak źle nie jest. — rzekłem, — interesa są ciężkie, ale nie zrozpaczone...

— Ale wy nic nie macie?

— Mamy jeszcze stósunki i imię, które coś przecie warte, — odrzekłem dumnie, — a ja siebie też nawykłem nieco cenić...

— To wszystko dobrze, — odparł Baron, — Filipina poszła by za was, gdybyście złamanego nie mieli szeląga, umielibyśmy was i imię spożytkować. Idzie o to że ożenienie w chwili gdy bankrutujecie, rzuca na nas cień niemiły, jakobyśmy kupili was sobie na licytacyi. Tego nie chcemy. Interes nie był zupełnie jasny, trzeba nam było powiedzieć wszystko...

— Zatem zrywamy interes, — rzekłem kłaniając się.

— Nie możemy zerwać, — odparł siadając Baron, — ale go musimy ułożyć tak, aby się to inaczej wydało. Możecie się wszakże pochwalić, iż potrafiłiście wpędzić w matnię Barona Sauer, który nikomu nigdy jeszcze łapać się nie dał.

Pomimo nieukontentowania i chwilowego nieporozumienia układ przyjdzie do skutku. Sauer rozgłosić potrafił żeśmy z panną od roku byli zaręczeni.

Widzę że hrabia i mama się może wzdrygnie, wystawiając sobie moją Filipinę cale inaczej niż jest. Muszę więc dodać, że oprócz piękności, oprócz najwyborniejszego wychowania, jest rozumna. dowcipna i umiejąca się tak zastosować, iż dla niej żaden świat. żadne towarzystwo nie będzie straszne. Niech ludzie sobie co chcą szepcą po cichu, mnie to jest obojętnem. Hrabia jeśli można, dobrze by zjechał tu a wesele przyspieszyć by się dało...

W przypisku do tego listu, hrabia Edmund wyszczególniał jaką oprócz posagu, panna Filipina przy-

niesie wyprawę i że samych sreber ma za piętnaście tysięcy talarów i t. p.

Hrabia wysłuchał czytania listu z rezygnacją chłodną. Ani ów, ani żona jego nie widzieli w tem małżeństwie nic tak nadzwyczaj niestosownego. Żadne też z nich nie przypuszczało nawet, iż Abraham Helig kupiec i dzierżawca arędy w miasteczku w blizkiem był w pokrewieństwie z hrabiną przyszłą, jak się to później okazało...

Hrabina przywodziła mnóstwo przykładów podobnych we Francyi, hrabia wiedział o przybliżonych do tego w Anglii wypadkach. Westchnęli oboje i stary pan nazajutrz pocztę zamówił do stolicy. Honor i syn był ocalony — ale co z rodzicami stać się miało? Nieśmieli nawet mówić o tem, choć oboje czuli, że zostając na łasce syna, byli w położeniu dosyć — przykrem. Tymczasem życie szło trybem dawnym, dwór i wydatki zmniejszone być nie mogły. Hr. Edmund tak się spieszył, iż gdy ojciec nadjechał, już znalazł dzień ślubu naznaczony i przepyszne litografowane karty *de faire part*, gotowe do rozesłania w imieniu rodziny.

Baron Sauer przyjął jego Ekscelencyą z wielkimi honorami, dał obiad pyszny na którym był jeden minister i dwóch generałów, pokumał się z nim serdecznie i przygniótł go do ziemi swą poufałością. Wyprostowany, chłodny, ale trupio-błady hrabia przeszedł przez te wszystkie próby ognia, rachując iż cierpliwością zdobędzie sobie *modus vivendi* przyzwoity. będąc na łasce syna i synowej.

W przeddzień ślubu postanowił rozmówić się z Edmundem, który zmieszany trochę oświadczył mu

iz — baron Sauer wziął na siebie ułożenie wszelkich interesów pieniężnych i że hrabia z nim o tem będzie musiał pomówić jako z opiekunem jego przyszłej żony. Hrabia prawie to wołał, jednak kwaśno mu było. Tegoż dnia napisał bilecik do barona, który się zjawił zaraz dla pogadanki.

Wielkiemu panu ciężko przychodziło otrzeć się o drażliwą materję. ale — musiał.

— Kochany baronie, — rzekł. — wiesz jak z łaski plenipotentów i złych ludzi z któremi mieliśmy do czynienia, majątek nasz został nadwerężony. Przyjdzie wam go okupić pieniędzmi synowej. ale cóż my dla siebie wymówić mamy?

Bębniąc po stole palcami i wpatrując się w swą tłustą rączkę Sauer począł, nie spojrzawszy nawet na hrabiego.

— Les bons comptes font les bons amis! Ja także pragnąłem o tem z kochanym hrabią pomówić. Sprawa mojej pupilli i synowicy nie moja. wymaga z mej strony nadzwyczajnej bacności... cudzy interes, panie hrabio — cudzy — rzecz święta!

Westchnął.

— Jużćie na to nie pozwoli nasza familia, aby hrabia i hrabina zostali bez przyzwoitego utrzymania, ale — my wiele dać nie możemy... Tam na majątku niema nic... nic...

— Panie baronie, przy dobrem gospodarstwie... będzie przewyżka... — zawołał hrabia.

— No! toż trzeba żeby mąż coś miał! To co my ofiarujemy, to tylko z serca dobrego i przez szacunek dla państwa... ale my wiele dać nie możemy. Filipina ma trzykroć sto tysięcy talarów. Co one zrobią wło-

żone w ziemię? Ziemia to hipoteka doskonała ale interes kiepski. Pięć procentów! co to jest! pięć procentów! Co to jest za lokata, kiedy ona dziś z papierów ma piętnaście! Cóż oni będą mieli dochodu? Piętnaście tysięcy talarów! Co to jest dla nich piętnaście tysięcy talarów? Co oni mogą z tego dać?

Baron zatrzymał się, hrabia zagryzał usta aż do krwi niemal.

— Ja jestem człowiek praktyczny,—rzekł Sauer,—niech pan popyta, że mnie tu wszyscy znają za praktycznego człowieka... Proszę wierzyć. Hrabina ma niechaj zostanie przy dzieciach, po co jej jeździć i tracić osobno... na małe potrzeby, mając wszystko w pałacu, czy to wiele na wsi się wydaje! Ah, tysiąc talarów to świat!! Co się tyczy pana hrabiego, my wiemy, że pan przywykł jeździć, że panu to do zdrowia potrzebne... Teraz wszystko tanieje... no! trzy tysiące talarów??

Popatrzał — hrabia słuchał z oczyma spuszczo-nemi w ziemię, nie mówiąc słowa, nie zdając się mieć ochoty odpowiadać.

— Z cudzej kieszeni mnie trudno szafować,—dodał Sauer, — no! a na prawdę niema z czego! Jeśli się interesa poprawią później, a majątek oczyści...

Hrabia jeszcze nie odpowiedział i głowę trzymał spuszczoną. Bankier nie wiedział co to ma znaczyć, ale nie śmiał być natrętnym. Począł palcami grać na stole i wpatrywać się w nie osłupiałym wzrokiem.

Panowało milczenie przykre. Nagle hrabia wstał, wyprostował się, głowa do góry i rzekł sucho:

— Cóż robić! co robić?

Napróżno Sauer starał się jakąś obojętną zawią-

zać rozmowę, nie było sposobu. stary milczał z dumą która się targować ani chciała ani myślała.—Sauerowi przykro było może iż się to tak urwanym sposobem skończyło. po chwili jednak pożegnał się i wyszedł. Nazajutrz miał nastąpić ślub w kościele Św. Jadwigi, gdyż chrzest panna młoda kilką dniami wprzód odbyła... Niewielka garstka zaproszonych świadków towarzyszyła obrzędowi. Ze strony pana młodego był sam jeden ojciec obwieszony orderami. z gwiazdą i w mundurze kawalerów Bożego grobu. który jest wspaniały. Pokrewni panny patrzali z pewną dumą ze takiego pięknego szczupaka złapać sobie potrafili. Baron Saner miał wprawdzie kilka pięknych dekoracyi, ale takiego przepysznego munduru!! zazdrościł...

Po odbytych obrzędach na obiad zaprosił do siebie baron całe towarzystwo składające się z dwudziestu kilku osób. Uczta była prawdziwie królewską i tak kosztowną iż goście mimowoli jedząc rachowali ile to talarów na nią wyszło. Przepych w srebrze. w porcelanie, w winach niezrównany. Saner jadł w dni powszednie, gdy żony nie było. a huis clos. obiady z traktyeru mu przynoszone po 15 sgr., ale gdy należało — wystąpić — występował pańsko.

Hrabia stary wielki znawca win i delikatesów utrzymywał, że takiego wina Bordeaux (nie pił od lat dziesięciu... Sauer zapraszał naiwnie swych gości. — Proszę tego skosztować, — mówił do krewnych. — pan w domu tego nie dostaniesz...

Późną nocą jakoś skończyła się nareszcie Baltazarowska uczta owa i wszyscy wstali weseli i szczęśliwi... Całe towarzystwo odprowadzało na kolej państwa młodych. którzy wedle zwyczaju przedsiębrali

miodowy miesiąc spędzić w szwajcarskich gospodach. Mieli tylko wstąpić na godzinę do majątku, aby hrabinej zaprezentowała się synowa i natychmiast ruszyć w drogę. Stary hrabia jechał z nimi także. Na stacyi kolei czekał jeszcze kosz szampana ze złotemi szyjkami.. wypito zdrowie... zaświstała lokomotywa ironicznym jakimś głosem — i... w świat...

Trzykrotne — hoch! rozległo się po za wagonem... w którym hrabina Filipina z ogromnym bukietem uśmiechała się mężowi naprzemian i staremu hrabiemu, już drżącemu po trudach biesiadnych.

Na wsi trzymano w zupełnej tajemnicy całą ową historią zdobycia nowej fortuny przez hrabiego Edmunda. Ostójski tylko zasłyszal coś z dala niepewnego o projektach ożenienia, ale z kim, co? niewiedziano.

Jednego ranka gdy Cześnikiewicz pracował w swoim pokoju, a prawdę powiedziawszy ciągnął kabałę — zastukano do drzwi, prawie równocześnie drugimi wszedł Jakóbek i oznajmił. że Abraham Helig chciał się widzieć... — A to niech wejdzie — rzekł Ostójski.

Otworzyły się drzwi do ganku i znana postać starego Heliga pokazała się w progu, z niezwykłą na twarzy jasnością. Ostójski tak był uderzony wyrazem fizyognomii starego żyda, iż sądził z razu, że wielki los na loteryi musiał wygrać.

Stary żyd, najnajętniejszy kupiec w miasteczku, który dostarczał wszystkiego Ostójskiemu i zostawał z nim w dobrych stosunkach, człowiekiem był uczciwym, nie zbyt wykształconym, ale już trochę w świe-

cie nieco otartym. Sadził się nawet na mówienie czy-
sto po polsku.

Za młodu chodził on starą modą, ale się z czasem przebrał. jak mówił, po niemiecku, chociaż zostały mu niektóre części stroju właściwe tylko naszym izraelitom.

— Kłaniam uniżenie, panie Helig, kłaniam uniżenie.

Abraham nienosząc już pasa. rękę założywszy za surdut, uśmiechając się kłaniał. — Jak się pan Cześnikiewicz ma? czy dobrze zdrów?

— At, co chcesz. stare graty kości noszą... stary grzyb jestem i mam się jak skrzypiąca wierzba...

— A! a! albo to jegomość stary, ja dziesięć może lat starszy jestem...

— A w roku przeszłym trzeci się raz ożeniłeś? nieprawdaż? — dodał Ostójski, — no — jabym tego głupstwa zrobić niepotrafił.

— Dla czego to ma być głupstwo? — zapytał Abraham.

— U nas to tak nazywają.

— A u nas, panie Cześnikiewicz mówią, że przykazanie Boże.

Ostójski ruszył ramionami.

— No? co słyszać panie Abraham...

— Hm! co słyszać? to pan już musi wiedzieć.

— Naprzykład?

— Dla nas, to największa nowina. że młody pan hrabia jutro się żeni. a pojutrze tu będzie z żoną.

— Doprawdy?

— W samej istocie, — mówił uśmiechając się Abraham, — no! i pięknie się ożeni! Panienska ma trzy-

kroć sto tysięcy talarów, oprócz co jej stryj da wyprawy, a to pierwszy bogacz w Berlinie.

— Ale któż? co? jak się zowie? — pytał Ostójski.

— Ona jest synowicą sławnego bankiera. barona Sanera. Czyż byś pan o nim nigdy nie słyszał? a! to nie może być!

— A! ten co szachrował na kolejach.

— Szachrował? przepraszam pana. — rzekł Abraham, — on szpekilował — ja coś o tem wiem.

Ostójski się zamyślił mocno.

— Synowica Sanera?...

— Tak jest, a mnie ona wypada po siostrze — siostrzenica...

Ostójski osłupiał...

— Co waćpan mówisz! hrabia! ale to nie może być.

— Jak nie może być. kiedy jest! — rzekł tryumfalnie Abraham, — moja rodzona siostra była za Henrykiem Sanerem...

— Jakto? hrabia by się ożenił z żydówką? — zakrzyczał Ostójski, któremu się mięszało w głowie.

— No tak... ale ona już zapewnie przyjmie taką wiarę jakiej będzie potrzeba. Ja tego nie chwale... a ją tak wychowali. Teraz i u nas taki wiek nastał. że ludzie swojej wiary nie trzymają.

— Ale cóż u sto diabłów. — rozchodził się Ostójski, — co mi asindziej prawisz panie Abrahamie. br. Edmund żonaty z siostrzenicą waszą?

— I z rodzoną! — rzekł powoli Abraham, ruszając ramionami. — No, to co? to co? oni stara familia i my stara familia... my jesteśmy z pokolenia Lewi. a to wiadomo, że my egzystowali kiedy tych hrabiów na świecie wcale słyhać nie było...

Ostójski stał ciągle osłupiony. nagle zerwał się i otworzywszy drzwi począł wołać: Klaro! Zosiu! Zosiu! Klaro! a prosze, a prędko!

Obie kobiety wbiegły prawie natychmiast a widząc starego poruszonego, domyśliły się że Abraham jakąś nowinę przynieść musiał.

— Cóż to się stało? co? a! dobry dzień panie Helig...

— Co się stało? — zawołał Ostójski, — ja tego wam powiedzieć niepotrafię, a gdybym powiedział, myślelibyście, że z was żartuję. Niech Abraham powie.

— A! proszę pana, — rzekł Abraham, coś tak nadzwyczaj osobliwego! Gdy pożyjemy, zobaczymy może dziwniejsze rzeczy, wiek taki nastał!

Zosia patrzała ciekawie.

— Dziwnego? coś dziwnego się stać mogło? — spytała.

— Nic dziwnego; — odparł Abraham, — młody hr. Edmund jutro się żeni, z bardzo bogatą, piękną i dosyć wychowaną panną, a że ona jest moja siostrzenica...

Panna Klara krzyknęła, — Ach! zakryła sobie oczy i padła na kanapę.

— Skończenie świata! — zawołała, — Zosia zaczęła się śmiać.

— Doprawdy? rzekła prychnając. — Słowo daję panience, — poważnie odezwał się Abraham. — no — co dziwnego...

Po chwili Klara wstała blada z rękoma załamaniem.

— Bez pozwolenia rodziców!

— A! jak to? stary hrabia był na ślubie.

— Gdzie? w synagodze? — zapytała Zosia naiwnie.

— Nie, — odezwał się Abraham, — ona jest — katoliczka. Na trzy dni przed ślubem ją ochrzcili. Ona miała takiego rozzumnego stryja co ją chował na wszelki wypadek bez żadnej wiary. A jak by jej przyszło pójść za żyda albo za protestanta...

Tej teorji wysłuchały kobiety ze zgrozą. Klara powtórzyła raz jeszcze — skończenie świata!

Ostójski kiwał głową.

-- Więc jakże panie Abrahamie, przecie gdy przyjadą, pójdziesz się im pokłonić. albo oni odwiedzą wujaszka? Jak Boga kocham w głowie się mięsza.

— Nie, ja tego nie zrobię, — odpowiedział izraelita z powagą. — ona porzuciła wiarę swoją, między nią a nami niema już nic, ona nie moja siostrzenica, jam jej obcy. No — ale przyznam się jegomości, chciałem się przed nim pochwalić! Nie — ja tam nie pójde, ani ona do mnie nie przyjedzie... Hrabia pewno niewie nawet o tem, że ma wujaszka w miasteczku... a ludzie... będą o tem wiedzieli. Dla biednego żyda, — to jest satysfakcya! A! a! czego to teraz za pieniądze kupić nie można! Kłaniam jegomości...

Nie miał nic pilniejszego Ostójski po obiedzie nad zanieśenie tej nowiny do dworku księdza Kanonika, który ani o ożenieniu, ani o rodzaju tego ożenienia i stosunkach jakie z sobą przynosiło nie wiedział wcale. Panna Klara nie towarzyszyła im w tej wyprawie, była bowiem do szpiku kości szlachcianką polską i czuła się, wedle dawnych pojęć, dotknięta tak w swem dostojenstwie iż dostała bólu głowy i musiała

się uciec do zwykłej żółtej chusteczki, z którą się na świat nie pokazywała.

Zaledwie usiedli około starego okrągłego stolika, który nosił jeszcze na sobie ślady studenckiego scyzoryka pana Juliana, Ostójski się odezwał nie mogąc dłużej wytrzymać.

— Księżę Kanoniku! nowina wielka, hr. Edmund jutro się żeni z panną Sauer synowicą bogatego barona Sauera... wicie! Był u mnie dziś rano Helig i oznajmiając o tem oświadczył razem, iż hrabina przyszła jest jego rodzoną — sio-strze-ni-cą.

Matka Juliana ledwie nie tak zakrzyknęła jak panna Klara — Jezus! Marya...

— Ale, stójcie państwo! — dodał Cześnikiewicz — katoliczką jest od trzech dni, była wychowaną tak mądrze iż do tej pory żadnej wiary nie miała, jak czystą białą kartę zachowano ją, by na niej przyszły mąż wyznanie swoje zapisał.

Ks. Kanonikowi wydało się to żartem, wyda się to może powieściopisarskim konceptem niejednemu z czytelników, ale — niestety — historyczny to fakt, XIX wieku indyferentyzm malujący najlepiej. Co więcej, nie jest on może jedynym. a w rodzinach praktycznych powtórzy się pewnie i przejdzie we zwyczaj.

Gdy Ostójski zaręczył że nie zmyślił a Zosia potwierdziła uroczyscie i opowiedziała co słyszała sama od Abrahama. Kanonik odezwał się smutnie.

— Idziemy więc szybkimi krokami do tego stanu obojętności religijnej. która poprzedziła u pogan upadek ich społeczeństwa. Religia staje się formą. imieniem, rzeczą podrzędną... Bierze się ją dla wygody i rzuca

gdy zawadza jak tłumoczek podróżnemu... I to czyni ludzkość nie z błędną wiarą instynktami stworzoną, ale z objawioną, co przyniosła światn — prawdę, co stworzyła społeczność nową, stosunki nowe, co wyzwoliła człowieka — co go połączyła z Bogiem...

-- A! nie! zawołał podnosząc ręce do góry, — nie jest to dzięki Bogu, religii Chrystusowej zgon, bo ona nigdy skończyć się nie może, ale znak odrodzenia jej... Powstaną apostołowie nowi... przyjdą mężowie świętobliwi i dzieć się będą cnda, a wiara Boża którą ludźcie zepsuli, z nowym blaskiem zaświeci nad ich upokorzonemi głowami w niebiosach...

— Nim przyjdzie wszakże ta godzina, sprawiedliwym kielich goryczy należy wypić aż do dna...

Zamilkł.

Abraham Helig, który tajemnicy nie czynił ze swego chlubnego pokrewieństwa przed Ostójskim, nie znajdował potrzebnem tać tego i przed drngiem. Zresztą inni jego współwyznawcy byliby ją również roznieśli, bo stosunek ten doskonale znali. Rozeszła się więc w dni kilka wiadomość po całym sąsiedztwie, a jakie uczyniła wrażenie, zdawać sprawy nie potrzebujemy.

Rok upłynął od opisanych przez nas wypadków w pałacu i na folwarku. W ciągu jego pan Julian który zdał cum maxima laude examina i otrzymał stopień doktora, oznajmił o tem wprawdzie czułemi listami matce i wnjowi, ale się wytłumaczył przed nie-mi, iż przybyć do nich nie mógł... W przypisku było pozdrowienie dla całego domu Ostójskich... Zosia się zarumieniała mocno, czytając list ten, westchnęła i wy-

biegła prędko. Ojciec za nią powiódł oczyma i sposepniał.

Julian donosił w nim, że jeszcze nie jest pewien gdzie się i jak obróci, lecz że ma widoki na jakąś katedrę w jednym z uniwersytetów ruskich i tam zapewne się uda; a przed wyjazdem będzie się starał matkę i wuja pożegnać.

W położeniu Cześnikiewicza zaszła też zmiana. gdyż wkrótce po ożenieniu z panną Sauer, hrabiego majątki poszły na licytację i Baron w imieniu siostrzenicy je nabył, dołożywszy swoich około pięćdziesięciu tysięcy talarów. Doskonały i praktyczny bardzo administrator, Baron zjechał zaraz na miejsce, obejrzał folwarki i zapowiedział, że sprowadzi agnoma, pożyczszy obrotowy kapitał i na siebie gospodarstwo obejmie. Wypowiedziano więc dzierżawę panu Ostójskiemu, który chwilowo był w kłopotcie, znalazł przecie, nie chcąc się jeszcze kupnem związywać. znaczny, opatrzony folwark w pobliżu, który zadzierżawił i do niego się przeniósł. Grunta dochodziły do pół mili od miasteczka, domu nie było mieszkalnego. najęto więc dwór w mieście, pod pozorem, że ten który zajmował Kanonik, był za szczupły... Mieszkanie w miasteczku mało co rodzaj życia zmieniło, Ostójski tylko częściej wyjeżdżać musiał, a Zosia była samotniejszą. Chwile te najczęściej spędzała w dworku z matką Juliaua, którą jakby własną kochała. Przychodziła z robotą, z książką. z koszyczkiem w którym jakąś przyniosła nowalię, i to pomagała w ogródku, to czytała głośno, to rozmawiała z Kanonikiem. Stała się tu prawie domową. Biedna na straży sobie wybrała miejsce, by być jak najbliższą wieści od Juliana.

Odważyła się nawet. czego się młodej panience nie chwali, na krok bardzo stanowczy. Ofiarowała się podstępnie kopertować, zapisywać i pieczętować listy matki do Juliana, a dyplomatyzowała tak zręcznie, iż nim przyszło do pieczętki, ukradła sobie miejsce na przypiski... Oznajmiła wszakże Julianowi, iż to czyni bez niczyjej wiedzy i na własną odpowiedzialność.

Na przypisek ten nie było też odpowiedzi żadnej, tylko znów ukłony ale nie całemu domowi Ostójskich, osobiście Cześnikiewiczowi, pannie Zofii i panie Klarze. Zawsze był to maleńki podstęp. Za drugim razem Zosia śmielsza już, zamiast pośpiesznego przypisku. osobną miała karteczkę w pogotowiu i do koperty ją wsunęła.

Nie było w niej nic doprawdy czego by papa i ciocia czytać nie mogli, ton listu żartobliwy i wesoły, a przecież jak on mówił wiele!.. Jak go tam przywitano, zostało tajemnicą, gdyż pan Julian nie ośmielił się odpowiedzieć, ani nawet podziękować, w przypisku tylko dołożył nieco czniej — całuję rączki panny Zofii i dziękuję za wszystkie jej dla mamy, a przez matkę dla mnie świadczone dobrodziejstwa...

Tłumaczyło się to tem. iż matka Juliana donosiła mu jak o niej pocziwa Zosia nie zapomniwała.

Od tych pierwszych prób, panna Zofia bezkarnością ośmielona. puściła się w formalną korespondencyą, choć zawsze bez odpowiedzi. Sprowadziła sobie cieniuteńki papier, aby niepostrzeżenie całą jego ćwiartkę wsunąć mogła i powiedziawszy sobie, że czy trzy wiersze, czy cztery stronnice grzech już jeden, zasypywała maczkiem od końca do końca arkusik.

Sprawiało jej to niewymowną pociechę. Opisy-

wała mu życie swoje, matki, Kanonika, mieściła nawet małe niewinne ploteczki. A choć czasem łzami przy pisaniu zwilżone były oczy, list zawsze był wesołutki, dziecięcy... miłuchny jak szczebiotanie ptaszka...

— Jesteś ty uparty, — mówiła Zosia, — ale i ją nią być potrafię. Chcesz ty czekać, będę czekała i dowiodę ci że kobiece serce lepiej od waszego brzydkiego serczyzka kochać umie.

Stara matka Juliana tak już była nawykła do kopertowania. pieczętowania i adresowania Zosi, że nigdy żadnego do syna nie wyprawiła listu, żeby jej o tę pomoc nie prosiła. Któż tam wie — może się co i domyślała. bo listy z czasem grubiały, a czasem nieostrożna Zosia zapędziwszy się półtorej ćwiartki wsuwała, co kopertę czyniło podejrzaną. A jednak matka nigdy nie dopatrzyła się defraudacyi.

Julian w ostatnim z listów doniósł nareszcie, że po namyśle chce próbować szczęścia inaczej i wybiera się do Ameryki południowej... a nim wyjedzie przybędzie wziąć matki i wnja błogosławieństwo...

Zosi z podróży czytanych znany był ten kraj tylko z żółtej gorączki, przestraszyła się niezmiernie i zakłęła Kanonika i mamę, aby w żadnym razie nie puszczali Juliana do tego kraju, w którym tak okropne choroby panują. Wolała już Rosyę, bo była bliżej, a cholera wydawała się jej mniej jakoś niebezpieczną.

Juliana wszakże mimo przyjazdu obietnicy wstrzymały i namysły i wybory w podróż, tak że się przybycie jego przeciągnęło. Tym czasem zaszły nader smutne okoliczności.

Jednego poranka panna Klara która bardzo rzadko, zwłaszcza sama odwiedzała dworek i Kanonika,

przybiegła z wyrazem twarzy tak zmienionym, przestraszona i zapłakana. że się matka Juliana. która ją pierwsza spotkała w progu wylekła sądząc iż jakie nieszczęście trafiło się panu Ostójskiemu lub jego córce.

Słowa od panny Klary dopytać się nie było można w początku, prosiła o wodę, popłakiwała ciągle. łamała ręce i powtarzała: co to z nami będzie? co my nieszczęśliwi poczniemy?

Kanonik błagał ją aby ich z tej niepewności wywiodła.

— A! ojciec mój, — zawołała, — jest to jeszcze tajemnicą, gdyż mój brat lęka się rozgłoszenia — wielkie nieszczęście. Praca życia całego! Kapitał mego brata ulokowany u bankiera w Berlinie cały i bezpowrotnie przepadł.

— Jakim sposobem?

— Niegodziwy człek zbankrutował i uciekł do Ameryki... brat mój powraca z Berlina... Nie chciał martwić Zosi i krył jak mógł tę klęskę... ale się to mimowolnie wydało... Jesteśmy bez kawałka chleba... Ostójski był tak nieostrożny... ja go zawsze przestrzegałam, słuchać mnie nie chciał. Wszystko złożył w jedne ręce! W domu z obawy złodzieiów nic nie trzymał, co tylko zebrał, odsyłał. Niewiem czy mu. oprócz remanentów, tysiąc talarów zostało...

Kanonik chwycił się za głowę.

— A! co za nieszczęście, — rzekł, — ten pocziwy Ostójski, żeby tylko nie rozpaczał, nie zagryzł się, nie rozchorował. Przecież Bóg dał, Bóg wziął... dla nich dwojga, dla państwa trojga — poprawił się — starczy i ta odrobina co zostanie. Przy pracy...

Ale panna Klara nie słuchając płakała.

— Możebym ja poszedł do niego, — zawołał Kanonik, — czasem słowo przyjaciela coś zawąży... a przypomnienie woli Bożej...

Chciał już wziąć za kapelusz, ale go panna Klara wstrzymała.

— Nie można mu o tem mówić, póki sam nie przyzna się. Gniewałby się żem ja go zdradziła, przyleciałam tu, — dodała panna Klara, — aby dołą naszą podzielić się z sercami przyjaznemi i pocieszyć współczuciem. O! przeznaczenie!

Uściskała matkę Juliana i pobiegła równie pospiesznym krokiem jak przyszła. We dworku smutek był wielki.

— Pierwsza rzecz teraz, — zawołał Kanonik, — żeby mu jego własność zwrócić. bo dziś i ten dworek dla niego wiele znaczy. Nic więc nie mówiąc trzeba innego mieszkania szukać, pozor jakiś znaleźć, a ztąd ustąpić.

— Tak, to prawda, — rzekła smutnie matka Juliana, — a! ale jakże ciężko się nam będzie znowu przenosić.

— Ciężej jemu, moja siostrunin, na starość zostać z uszczuplonym chleba kawałkiem — westchnął Kanonik... — ale Bóg łaskaw...

Miał iść nie zwłócząc do miasteczka, gdy Ostójskiego zobaczył. który z kijem w ręku szedł powoli z głową spuszczoną. Na twarzy jego znać było przybicie, ale nie tak szaloną rozpacz i zwątpienie, jakich się Kanonik obawiał. Pozdrowili się jak zwyczajnie, Ostójski postawił kij w kącie i siadł.

— Jeździłeś pan do Berlina — cóż tam słyszać? — spytał Kanonik.

— A no — nic, Berlin się na wielką stolicę przera-
bia, choć mu to nie łatwe. Nic...

— Coś zmęczeni jesteście z podróży, czy... nie zdro-
wi, jakoś mi wyglądacie nie swojo, — dodał ksiądz.

Ostójski się obejrzał. — Doprawdy? — rzekł, —
jako! poznaliście biedę z twarzy...

— Jest jaka bieda?

Stary się zawahał. jakby z sobą walczył, mówić
czy milczeć.

— No, przed wami tajemnicy niema... — rzekł krótko,
— moją krwawicę djabli wzięli.

— Co? co takiego? — zapytał Kanonik.

— Cały majątek mój przepadł, — dosyć jakoś spoko-
jnie dodał Ostójski... — Zostało mi bardzo mało.
A w dodatku żem sam sobie winien, więc niema co
i pisać.

— Cóż? skradziono?

— A jużciż. — mówił Ostójski. — Licho mi nadało
obawiać się złodzieja w domu i samemu go sobie szu-
kać po za domem. Oddałem wszystkie moje pieniądze
bankierowi, który zdawał się pewny i człowiek uczci-
wy. Tymczasem uszedł gdzieś do Ameryki. *Passiva*
wynoszą półtora miliona, a *Activó* w jest na dzie-
sięć tysięcy. Uwinał się tak zręcznie, że gdy się lu-
dzie opatrzyli, już może był w Nowym-Yorku.

— Ależ nie mieliście n niego całej waszej...

— Calutenką krwawicę, sto piętnaście tysięcy tala-
rów... westchnął ocierając pot z czoła Ostójski. Chwi-
la była ciężkiego milczenia, szlachcic dumał ponuro.

— Mam lat sześćdziesiąt, — rzekł, nie taka to sta-
rość jeszcze gdy są siły — lecz dorobić się już ciężko,
choć mam za co ręce zaczepić. To co mi zostało z re-

manentem, gotówką, w zbożu, na dłużnikach dociągnię do kilku może kilkunastu tysięcy. Gdybym poczytał gospodarzyć, więcej nie miałem... ale naówczas też nie miałem połowy tych lat które mi ciężą na karku... i kochanego dziecka o którego los jestem trwożny. Nuż choroba, śmierć... a ona zostanie na łasce Klary? Klara najpocziwsza w świecie, ale... ale... będzie po całych dniach deklamować, ręce załamywać — i po wszystkim...

Znowu umilkli, Kanonik i pocieszać nie umiał.

— Tylko cicho, szal niech ludzie się ze starego dudka nie śmieją... — dodał Ostójski.

— Przecież może złodzieja złapią i coś się odzyska. — rzekł Kanonik.

— Gdyby go złapali, to go jeszcze żywić będzie trzeba. wszystko puścił na bursie... Inż tam drudzy starania robili... telegrafowali przez linę do Ameryki. ale ja na to grosza dać nie chciałem...

— Wie Zosia? — spytała matka Juliana.

— Nie zupełnie... ale zdaje mi się że się domysła. i że Klara się jej łzami wygadała, mnie podszedłszy. Zosia żeby mnie nie zgryźć, wszystko w sobie stłumi — zresztą ona najmniej dla siebie potrzebowała, a pracować potrafi... Mnie to więcej dotyka com jej życie chciał zapewnić szczęśliwe, dostatnie. bez troski. Ale wola Boża... wola Boża...

— Kochany panie, — rzekł Kanonik. — byliście wy dla ubogich miłośierni, Bóg też dla was miłośiernym będzie. Nie traćcie ducha, serca, odwagi. a weźcie się do pracy.

— Muszę, — odparł Ostójski, — łązy za pieniędzmi

brzydka rzecz, nie ronię ich, ale mi na duszy ciężko! ciężko. Moja Zośka! moja Zosieczka!!?

Zakrył sobie twarz rękami, gdy z tyłu nadbiegające dziewczę pochwyciło go za szyję... Stało ono już i słuchało przez chwilę nim weszło.

— Tatku drogi! tatku najmilszy! jeśli o mnie chodzi! a! to możesz tańcować!.. A mnie pieniądze na co? Wiesz że razowy chleb lubię, że sukienki perkalowe noszę, że praca mnie nie straszy... zostało nam przecie coś! a! czegoż się gryźć. Pluń tatku na licho! Mnie waszej pracy żal... a dla siebie — doprawdy aż łzej.

Ojciec nściskał ją czule...

— No, to dosyć. — odezwał się, — teraz będę spokojny...

Odwrócił się do kanonika żywo.

— Przyszło mi na myśl, bo was znam, — dodał. — że wam się zaraz przyśni ze dworku ruszać aby nie być mi ciężarem. Pilno mi było was przestrzedz. że ja do pół roku nie potrzebuję go. bo mam najęty i zapłacony, a potem... no! to zobaczemy... pomieścimy się jakos. Tylko ani mi się ruszajcie ztąd ani szukajcie mieszkania — jeżeli mnie kochacie.

— Mój dobry przyjacielu, — przerwał rozczerwony Kanonik, — ja serce twoje znam, ale mnie nie zmuszaj do położenia, które mi strasznie zacieży... nie zmuszaj. Będę swobodniejszy...

— O cóż idzie? po pół roku zrobicie co zechcecie, a do pół roku jak mnie kochacie, posiedzicie spokojnie.

Kanonik się wahał.

— Ja was proszę, mój ojczy, ja bardzo was proszę i Zosia...

— Ja ojca błagam... — dorzuciła Zosia.

— Do pół roku, słowo. — rzekł Kanonik.

— Słowo.

— Dobrze, — dokończył ksiądz, — a po pół roku żadna mnie siła w świecie tu nie utrzyma. Wy doskonale się możecie sami we dworku tym pomieścić, ja w daleko mniejszym, bo my z siostrą takich apartamentów nie potrzebujemy.

— Poczekajcież no, mój dobrodzieju, — wrzucił Ostójski, — bardzo być może iż ja teraz z dzierżawy większej wyjdę a wezmę mniejszą i dalszą, zatem wcale w miasteczku mieszkać nie będę.

— To sobie dworek wynajmiecie, — rzekł Kanonik. — w teraźniejszym położeniu każdy grosz trzeba szanować.

Na tem więc stanęło; lecz Zosia po odejściu ojca została jeszcze dłużej z matką Juliana. Kanonik nic nie mówił, a w duchu i dziwił się i uwielbiał rezygnacyę z jaką cios ten straszny przyjął stary szlachcic i jego córka. Zosia obawiała się tylko o to by ojciec się zbytnią nie zabijał pracą. a Ostójskiemu szło o córkę... Przywykli do skromnego życia nie mogli poczuć nawet ruiny. bo im zostawało tyle że prawie nie zmieniając dawnego trybu dalej dom prowadzić mogli.

Chociaż wypadek miał być do czasu przynajmniej tajony przed ludźmi, ani panna Klara. ani Zosia nawet nie wytrzymały żeby się z czemś po troszę nie wygadała, ludzie podedrzwiami podsłuchali, w parę dni po miasteczku i okolicy rozbiegła się głucha wiadomość o katastrofie Ostójskiego. Znali go wszyscy jako bardzo zacnego i uczciwego człowieka, ubolewanie więc było powszechne. Nie zbywało na dowodach

współczucia, jakie rzadko się ludziom trafia, zdobyć na obojętnem zawsze społeczeństwie. Jeden z pierwszych przybył dziedzic majątku który Ostójski dzierżawił, a któremu się nic nie należało bo był z góry zapłacony. Ułaskił się on aby go pocziwy człek nie porzucił i ostrożnie wielce dał mu do zrozumienia, że jeśliby jakiej ulgi w dalszych wypłatach wymagał, da mu ją chętnie. Ostójski uściskał, podziękował i odmówił, ze łzami w oczach.

Naturalnie katastrofa była przedmiotem długiej gawędy, w której szlachcic bankierów, spekulatorów i całej ich prozapii nie szczędził. Urazę do tego plemienia tem większą całe teraz miało sąsiedztwo, gdy baron Sauer zajął się gospodarstwem majątków hrabiego i poprowadził je tak że okolica współzawodnictwa z nim wytrzymać nie mogła. Gospodarowano tu tak jakby jutra dla świata nie było, ciągnąc z ziemi a bobudzając ją do produkcyi szalonej. bez względu na to że i matki ziemi siły wyczerpać się muszą. Sąsiedzi którzy guana kupować, ani mineralnych nawozów sprowadzać nie mogli, gniewali się na Niemca który ogromne czynił nakłady.

W pałacu po powrocie państwa młodych z miodowej przejażdżki wszystko się do nowego ułożyło życia. Hrabina matka wyplakawszy się nad losem swym nieszczęśliwym, pocieszała się tem; że synowa jej była tak zapaloną muzyczką jak ona. Wyznaczono jej część pałacu na mieszkanie. Młoda synowa była nadskakująca i grzeczna... życie znośne. Stary hrabia milcząc i nic nie dając poznać po sobie, zniósł swój upadek na oko stoicznie. Po kilkun dniach pobytu na wsi, uroczyście pożegnał żonę, kazał upakować tłomoki i wyjechał do Monaco.

W miesiąc potem dowiedziano się że został tknięty apopleksyą i życia dokończył. Pozostałe długie w Anglii i na stałym lądzie, dokuczały synowi, ale ten ich wcale płacić nie myślał. Baron Sauer był tak grzeczny, iż pensyę trzech tysięcy talarów przelał na hrabinę, dając do zrozumienia że z nią by sobie mogła pojechać. gdzie się jej podoba... Zdaje się że na tę wspaniałomyślną decyzją wpłynął podszept młodej pani, która chciała być samowładną w palacu i przenieść się do gabinetu à la Louis XV. Hrabina z radością powitawszy nadzieję swobody, choć z tak szczupłym fundusikiem natychmiast wybrała się do Drezna. Posyłała nawet do pauny Carity, czyliby jej towarzyszyć nie chciała; ta jednak odmówiła. Pensya nadzwyczaj już stała świetnie, a protekcyja ks. administratora dała jej sławę i wziętość. Rzeczywiście on nią więcej kierował niż Włoszka, która była jego najuleglejszą sługą... Mówiono już o zarządzonej składce, która zakład ten miała na nowy klasztor przerobić.

O powrocie ks. Kanonika do probostwa, mowy być nie mogło. Jeździł on parę razy do dawnych swych przyjaciół i znajomych, członków kapituły, ale ci wyznali mu że ks. Wikary miał takie plecy. protekcyje i był tak popierany silnie iż przeciwko niemu ani by się kto ważył wystąpić. Radzono mu rezygnować a w innej dyecezyi lub chociażby w tej innej szukać probostwa; oświadczając otwarcie iż był pomówiony o liberalizm, patryotyzm. demokrację, o rewolucyjność, o czerwoność i inne tego rodzaju zbrodnie, któremi raz obrzucony człowiek, choćby najniewinniej — już się nigdy oczyścić nie może...

Ks. Kanonik poddał się w milczeniu woli niebios, żał mu było opuszczać miejsce do którego się przywiązał. a zdało mu się że z tego co mu przeznaczono przy innej jakiej pracy wyżyje. On i siostra nawykli byli do tak skromnego życia. iż dla zyskania lepszego bytu nie poświęcać nie potrzebowali.

W dzisiejszych czasach ta teoria swobody człowieka, ograniczeniem jego potrzeb zdobywana, cale niema wziętości — jest ona wszakże najskuteczniejszą tarczą przeciwko zepsuciu. a ci co ją przyjęli biorą z nią moc wielką, stają się niezależnemi wyższemi nad pokusy.

Większej części serwilizmów. npodleń. upadków ludzkich. przyczyną jest nawyknienie do zbytku, próżność i rozpieszczenie cielesne. Kto potrafił przekonać ciało i nadać mu hart potrzebny, nabywa potęgi równoważącej często, często przeważającą potęgę grosza i władzy.

Ale ta stoicko-chrześcianańska teoria dawno odrzuconą została. Materyalizm odkrył i dowiódł że mens sana in corpore sano, i że interesa żołądka są zarazem sprawami ducha. Nie było więc innego sposobu tylko obwarować sobie warunki materyalne, jako najpierwszą potrzebę — a że znówu wielu inaczej jak wątróbkami w pasztetach karmić się nie może — ztąd konieczność zbrukania się dla zdobycia wątróbek — i tam dalej i tam dalej. Kto może żyć kawałem chleba, być zdrowym i silnym i nie tęsknić za delikatesami, stokroć jest większym panem, niż milionowy sybaryta co się lęka więcej o ntratę dobrego stołu niż dobrego imienia.

Zosia codzień prawie przybywała na probostwo,

opowiadając coś o ojcu i wynosząc jego spokojność i rezygnację. Trafiła się w tym czasie iż pani matka pisała parę razy do Juliana, a Zosia pieczętowała, do tych jednak listów nie dodała ani literki... Zmieniło się zupełnie położenie. Zosia miała małeńki posażek, a Julian jako zdolny doktor wielką i świetną przyszłość przed sobą. Poczuli to dobrze iż mu jej zawiązywać nie była powinna. Posmutniała biedna, ale umiała tego nie pokazywać po sobie.

Największe wrażenie katastrofa zrobiła na panie Klarze, która wyplakiwała się strasznie, a nastrojona była tak, że nie mogła inaczej przemówić tylko niesłychanie patetycznie deklamując przeciwko zepsuciu świata, ludziom, zdradzie, niesprawiedliwości i t. p. Z rozczulenia wpadała znowu aż w gniewy czasem i kłóciła się z bratem, którego słamazarności przypisywała wszystkie — nieszczęścia rodziny. — Ostójski jakby odmłodził tak się krzątał z nową gorliwością około gospodarstwa.

Jednego poranku wreszcie gdy Zosia wedle zwyczaju przyszła do dworku dać dzień dobry matce Juliana, zdziwiła się i zmięszała niezmiernie zastawszy całe niespodzianie młodego doktora, który przyjechał niezapowiedziawszy się wprzód.

Zosia która go niedawno tak czule i śmiało witała, napastliwie prawie, teraz i chłodno i umiarkowanie pozdrowiła Juliana. Krócej też pobywwszy niż zwykle, pod pozorem że jej ojciec potrzebował, że miała coś do roboty w domu — pożegnała się i pierzchnęła.

Nazajutrz już nie przyszła.

Trzeciego dnia Julian z Kanonikiem i matką

wybrali się po obiedzie do Ostójskiego — którego szczęściem w domu zastali. Młody medyk zdziwił się nieco wyraźnie umyślnie zwiększonej jeszcze prostocie urządzenia domu. Jedna sługa starczyła do kuchni i pokoiów, gdyż Zosia a po części i ciocia resztę roboty wzięły na siebie. Ostójski Jakóbka odprawił i mówił że się doskonale bez niego obchodzi. Nie było skąpstwa lecz widoczna i troskliwa oszczędność.

Ciocia, którą po raz pierwszy spotykał Julian, podała mu rękę i rozpłakała się.

— Jedna chwila, — rzekła, — częstokroć przedzieła szczęście od niedoli. Gdys pan zdążył ztąd po wieńce do stolicy... zostawiłeś nas opływających we wszystko... dziś znajdujesz w nędzy...

— Ale dałabyś pokój, — ofuknął Ostójski, — gdzież nędza! gdzie nędza? To już retoryka za daleko posunięta...

— Szala losu przechyliła się w stronę przeciwną, — dodała panna Klara.

Ostójski z gościnnością w domu i dobrym humorem starał się gościowi dać zapomnieć że powinien był kondolencyjny przynieść komplement. Na pierwsze Juliana słowo — przerwał mu.

— Nic niema tak strasznego, chleba kawałek został, a póki siły póty pracy być powinno... Nie mówmy o tem.

Zosia choć swobodna i prawie wesoła, nie szukała już rozmowy z Julianem. nie wyzywała go do niej jak wprzód — Julian znowu. jak gdyby ze swej strony chciał dowieść że zmiana położenia na jego uczucia nie wpłynęła, o wiele był swobodniejszy i weselszy niż dawniej.

— Cóżemy to słyszeli, — rzekł Ostójski, — że się asindziej panie Julianie, wybierasz do Ameryki, czy do Kalifornii złoto kopać, czy co?

— Miałem w istocie myśl, — odpowiedział zagadnięty, — odbyć podróż naukową i jakiś czas poświęcić się praktyce w jednym z miast Ameryki południowej, gdzie o dobrych lekarzy dosyć jest trudno — ale — ale się waham.

— Cóż? więc znowu projekt do Rosyi? — spytała Zosia cicho, rada prawie iż od żółtej gorączki strachu uwolnioną została... w zamian biorąc cholereę.

— Aż mi wstyd, — szepnął Julian. — że tak nie stały jestem. Oto doprawdy sam niewiem teraz... do Ameryki daleko, Rosya dla samego języka mi niedostępna, matki mi rzucić żal, Kanonikowi bym pragnął być pomocą... któż wie? może zostanę w kraju.

Zosia się zarumieniła mocno. Ostójski odchrząknął i z wyjaśnioną twarzą począł się przechadzać po pokoju.

— Dalibóg, — rzekł, — zrobisz rozumnie, a że ci na praktyce wyborowej zbywać nie będzie — ręczę. Gdybyś widział jak ja i co tu nasze biedne ludziska feber rozmaitych, reumatyzmów, kalectw, choróbsk nabiorą przy pracy i klimacie — ty by ci aż ślinka do ust pociekła. Takie choroby powiadam ci, nowiuteńkie, wymyślne właśnie jakich młodemu doktorowi potrzeba!! Będziesz sobie uczył się i praktykował. lepiej jak w szpitalu przy klinice, z tą różnicą że u nas zobaczysz takich chorych którzy u was leżą w łózkach. z gorączką noszących snopy, z febrą młóących zboże, i z reumatyzmem po kostki stojących w błocie godzinami... To dopiero praktyka!

— W różowych odmalowana kolorach!—dodał Kanonik. — No — co do mnie. — mówił dalej. — ja teraz Julka ani od podróży nie wstrzymuję, ani do skromnego życia na wieś zapraszam. Było by mi boleśnie gdyby swą przyszłość dla nas poświęcał. Dla tego i odezwać mi się trudno.

Matka także milczała, panna Klara zbierała się coś — rzecz — ale odłożyła na później. Zosia ukradkiem patrzyła w oczy Julianowi, który był zamysłony i milczący.¹

Gdy się wszyscy rozgaдали później, a Zosia wysliznęła się do drugiego pokoju, Julian nieśmiało poszedł za nią. Ostójskiemu aż oczy zaświeciły gdy to zobaczył.

— Panno Zofio, — odezwał się idący za nią medyk, — doprawdy pani coś na mnie nie łaskawa.

— Dla czego?

— Anim dotąd miał zręczność pozdrowić pani! tak ją widziałem mało... Czy panią bardzo tak dotknęło to nieszczęście?

— Mnie? osobiście! a! bynajmniej, — zawołała Zofia, — wierz mi pan iż ani bym go poczuła dla siebie. Dla ojca dotyka mnie ono boleśnie, biedny tatko powinien był nieco spocząć...

— Czy pani wierzysz w to że spoczynek jest szczęściem? — spytał medyk.

— Zupełny — nie, — rzekła Zofia, — pojmuję to że człowiek nawykły do pracy, gdyby mu ją odjęto, prędzej by się uczuł skrzywdzonym, zanudził się, niż by miał tem ucieszyć. Ale zbytek pracy i frasunek przyszedł w wieku ojca.

— Czyż się tak bardzo zamęcza?

— Dosyć... nadto.

— A pani go wstrzymać nie może?

— Bardzo mało... On kłopotuje się niepotrzebnie o mnie, o losy moje — ja o niego. Ja mam słuszość. on najmniejszej. Zostało mi tyle że starej panie doskonale wystarczy. a nawet dwóm, bo już ci o cioci nie trzeba zapominać.

— Ciocia zdaje się mocno dotkniętą.

Zosia się uśmiechnęła.

— Tak. — rzekła. — ale ma w tem pociechę, że nigdy tyle pięknych rzeczy powiedzieć nam nie miała zrzeczności co teraz...

— Mnie, wiesz pan co najwięcej zasłuciło? Musieliśmy rzucić stary folwark gdzie się tak długo mieszało... Wystaw pan sobie, na moim kochanym ogródku posadzili bezbożnicy kapustę!

Julian się uśmiechnął.

— Profanacya to, — rzekł, — ależ pani musi mieć ogródek nowy?

— Tak! nowy! nawet daleko piękniejszy. Ojciec — bo jeszcze wówczas jak można było — sprowadził mi takie śliczne kwiatki z Erfurtu. Co mi po nich! Jam mój krzak bzu co podrósł w mych oczach wołała i ręką moją sadzone, owe maliny.

— A wiesz pan! za karę im — wymarży! Teraz znowu, — szczebiotała Zosia, — przenosić się pewnie potrzeba gdzieś indziej, a to koczowanie mnie męczy...

— Ojciec, co panią tak kocha, — odezwał się Julian. mógłby na to łatwo poradzić — coś małego kupić i na swoim gospodarzyć.

— Nie, niemamy nawet za co kupić — małego...

— szepnęła Zosia spuszczać oczy, — nie zostało nam nawet tyle, by dobry młyn gdzie nabyć. Ojcu się zda-
je że z tego co ma łatwiej się dorobi.

Mówili dłużej jeszcze, swobodnie i poufnie, a do
rozmowy wmięszaly się wspomnienia młodości, któ-
rych Julian nie unikał. Był jakiś wesół i mówniejszy
niż dawniej. Zosia mu tego powinszowała.

— A! pani! — odezwał się otwarcie, — teraz to
co innego, jesteśmy na zupełnej stopie równości. Da-
wniej widziałem w pani w całym blasku majestatu
dziedziczkę fortuny, którą olśniewy ust nie umiałem
otworzyć... teraz mówię z panną Zofią.

— Więc się na coś nasze nieszczęście przydało
przecie! — dodała Zosia.

— Aż mi wstyd że ja na niem skorzystałem, gdy
państwo straciliście, — dorzucił Julian.

Po odejściu Kanonika ze swemi Zosia w wybor-
nym humorze siadła grać na fortepianie. Grała stra-
szenie jakoś burzliwie, gdy ojciec się wsunął.

— A co? a co? — spytał, — nieprawdaż że Julian
jakby inny człowiek. Zawadzały mu widocznie tala-
ry, które pojechały z tym przecherą do Ameryki?

Zosia mu się rzuciła na szyję.

— Julian śmielszy jest... a jednak??

Powróciła do grania, Ostójski poszedł do stolika
kabałę kłaść, ale na co? do tego przyznać się nie
chciał. Kabala mu wypadła... nie można wszakże
zareczyć, czy dyplomatycznie w pomoc jej nie przy-
szedł.

Julian, któremu znanem było postępowanie Wi-
karego z Kanonikiem i tysiączne drobne przykrości,
jakie czynił wujowi, nie miałcale zamiaru odwiedzać

probostwa. Niespodzianie spotkali się jednak na drodze z powracającym z pensyi swej ks. Leonem. a ten zaczął sam Juliana, z bezwstydnoscią podziwienia godną. Medyk zimno go przyjął. robić mu wszakże wymówek i historyi i sam nie chciał i wiedział że Kanonikowi by tem przykrość wyrządził.

Ks. Wikary cale teraz inaczej wyglądał, nabrał pewności siebie i tej jakiejś dumy pokornej, która odznacza duchownych dobijających się znaczenia. Mówił więcej. śmieiej, czuć było że ufał w jakąś siłę w sobie i po za sobą. Nie tylko przywitał Juliana i począł z nim rozmowę, ale począwszy ją nie dał odejść medykowski. ciągnąc go z sobą niemal gwałtem na plebanie. Jakkolwiek kosztowało go tam wejść. musiał, ciągnięty natrętnem naleganiem. Stara budowa wyglądała teraz wyświeżona. przyozdobiona. nader pobożnemi godłami, obrazami. sprzętami lecz zarazem wytwornie. Pełno było drobnostek i cacek wprawdzie nświęconych różnemi emblematami religijnemi, ale świecących i wabiących oko. Stare ławy i stoły zastąpiły meble wykuintne. Julian chwilę tylko chciał zabawić i odejść. Wikary go wstrzymał.

— Dla tego tylko mówić chciałem z panem Julianem. aby go zapewnić, — rzekł przymilającym się głosikiem, — iż to o co mnie oskarżają — jest fałszem.

— Mówią że przeciwko Kanonikowi intrygował... o! nie ja! nie ja! on sam przeciwko sobie działał. Czasy się zmieniły, karność w kościele musiała też ulecieć reformie... Kanonik niesłusznie też uprzedzony jest przeciwko bogobojuemn zakonowi OO. Jezuitów. Spełnia on dziś toż samo posłannictwo przeciwko dok-

trynerom wieku, które zwycięsko raz już sprawił w XVI w. Kościół norganizował sobie ten korpus męznych zapasników i musi strzedz aby go szanowano.

— Ks. Kanonik sam winien... ja mu najlepiej życzę... Proszę mi wierzyć. Ale ileż to razy publicznie mówił przeciw tem i innym zakonom, które są potrzebne i Bogu miłe... Powtarzano jego słowa...

Julian nie odpowiadał nic, nie usiadł nawet i po-
bywszy chwil kilka pożegnał ks. administratora.

W kilka dni potem Ostójski zaprosić przyszedł na obiad swych miłych gości ze dworku.

— Obiadek będzie skromny, szlachecki... ale barszczyk z uszkami robi kncharka... jak nie można lepszy... a kieliszek wina ze starego zapasu się znajduje...

Nie można było odmówić — poszli tedy wszyscy. Pama Klara z Zosią same nakrywały śmiejąc się do stołu, a Ostójski w wysmienitym humorze talerze przynosił.

Na tę scenę wesołą wszedł Kanonik z siostrą i Julianem. Julian zaraz rzucił się pomagać i szczególnej łasce Bożej winni byli że przy tem wyprzedzaniu się nie potłukli nic.

Żadna w świecie najwykwintniejsza uczta pod błogosławieńszą wróżbą rozpocząć się nie mogła. Zosię los posadził przy Julianie, szczebiotała jak za dobrych czasów.

W pół obiadu. Ostójski podniósł głowę z nad talerza i pyta:

— A co tam, panie Julianie, czy nie zapadła osta-

teczna decyzja względem pańskiej podróży, dokądże. na wschód, na zachód. północ czy południe?

— Niech pan zgadnie, — odparł Julian, — w samej istocie wczoraj stanowczom sobie powiedział co mam czynić... niech pan zgadnie!

— Otóż go masz! — zaśmiał się stary, — jak ty chcesz żeby stary odgadł młodego — to nie jest w naturze rzeczy. My postępujemy roztunnie, wy szalenie, jakże ja mogę odgadnąć jakie ci się głupstwo zrobić podoba?

— Ale czyż koniecznie głupstwo? — powoli zapytał Julian.

— Prawie nieuchronnie! — westchnął Cześniukiewicz, — na to jesteś młody. Młodość daną jest człowiekowi na to, ażeby popełnionych w ciągu jej niedorzeczności reszty życia żałował.

Kanonik się roześmiał. — A toś asindziej trafnie powiedział.

— Tandem. panie Julianie, ja nie odgadnę.

Julian miał oczy w talerz spuszczone.

— Jeszczem nawet ani matce ani wujowi nie przyznał się. — rzekł, -- a tu mnie pan Cześniukiewicz zmusza do publicznej spowiedzi.

Matka w istocie z obawą wielką spoglądała na syna, Kanonik z ciekawością.

— Ja. — korzystając z milczenia wtrąciła panna Klara, — ja to znajduję naturalnem wielce i młodości właściwem. iż ona za ideałami goni i

„ścięga niedoścignione“

i nie dziwiła bym się gdyby doktor Julian, choćby na

księżyc wlecieć zapragnął... Wszak poeta nasz mówi:

Młodości, ty nad poziomy..

— Ale bezpieczniej chodzić po ziemi, — przerwał Ostójski.

— I ja tak sądzę, — rzekł Kanonik. — chodzić po ziemi a oczy mieć wlepione w niebo.

Zosia popatrzała na Juliana, który w tej chwili oczy miał wlepione w talerz — zdawał się zakłopotany.

— A no, mów pan co poczynasz. — rzekł Ostójski, — i ten kieliszek wypijemy za sukcesu jego przyszle..

— Zawiodę państwa nadzieje, — odezwał się doktor powoli i jakby wahając... — Myślałem długo, długo — i — nająłem od Drewnowicza dworek w miasteczku.

Ostójski aż się z krzesła porwał.

— Możesz to być?

Kanonikowi i matce łyzy się w oczach kręciły... oczy ich przez nie patrzyły na Juliana dziękczynnie.

— I nicś nam nie powiedział, — szepnął Kanonik.

— Wiedziałem że matka i kochany wuj życzyli sobie tego, zostanę i zostanę tu z przyjemnością wielką...

— A! niechże ci Bóg płaci! — krzyknął Ostójski. — i za zdrowie twoje!

Panna Klara patrząc na zarumienioną bardzo Zosię usta satyrycznie zagryzła.

— Ale czyż pewnie to? — rzekł gospodarz.

— Tak pewnie, żem z Drewnowiczem na lat trzy kontrakt podpisał i zadatek mu dałem.. — odparł Julian. — Dworek jest trochę za obszerny, — dodał ale Kanonik. mama, ja... i zresztą doktor musi mieć

gdzie przyjmować pacjentów... Ogródek wcale miły i ładny, para lip starych które nam probostwo przypomną...

Zosia milcząc piła wodę. widocznie było jej gorąco. Obiad się kończył, wszyscy wstali, Kanonik odmówił modlitewkę. potem przyszedł do Juliana i milcząc go w głowę pocałował. Ostójski wyściskał go okrutnie, matka poszła w kątek aby łez nie pokazywać. Jakoś błogo było wszystkim i dobrze i stali tak w ciszy jakby anioł pokoju przelatywał nad nimi.

Panna Klara tylko może z tego braku szczytnych prądów w młodzińcu nie była zadowolona. Nalewała czarną kawę z minką dziwnie szyderską.

Zaczęto naturalnie szeroko rozprawiać o urządzeniu dworku, o kupieniu skromnych sprzętów, o słudze, o ogródku. nawet o potrzebie bryczki i konia dla młodego doktora, po którego nie każdy i nie zawsze konie przysyłać może.

Przeciągnęło się to aż pod wieczór, a miłą rozmowę przerwało jeszcze przybycie, raczej wtargnięcie aptekarza pana Drngdy, który dowiedziawszy się od Drewnowicza o wesolej nowinie spieszył wyrazić swe sentymenta i radość jaką mu to sprawiało. Aptekarz, który niezmiernie rzadko wychodził ze swej pracowni. był człowieczek mały, okrągły, łysy, z ogromnymi tłustymi rękami, gaduła, facetus, a dobry z kośćcami. Powszecznie go lubiono. Z progu oczyma poszukał Juliana i rękę przykładając do czoła. świecącego jak biłardowa kula. zawołał:

— Submituję się mojemu generałowi!

— Panie dobrodzieju! — dodał po przywitaniu, —

nie mogło nic szczęśliwszego dla okolicy zdarzyć się nad to żeś się doktor szanowny dla niej poświęcił. Ale praktyka! zobaczy pan, będzie! Nam trzeba było lekarza... gwałtownie. Tylko, generale dobrodzieju, — rzekł głos zniżając, — obyście się nie trzymali nowej medycyny! Co to dziś warto... zapisze ósmą część grana trucizny i pół kwarty wody! Basta! Dawniejsze recepty proszę zobaczyć, aż uiło! Trzydzieści ingrediencyi, jedna osobliwsza od drugiej, recepta pół łokciowa, rachunek takiż, a chory gdy wyzdrowiał nie wiedział któremu był winien zdrowie z trzydziestu w jego żołądku goszczących medykamentów.

Śmiano się znowu. Drugda wypił kieliszek wina i zaofiarował się, kochanemu doktorowi zaraz tanio mebelki dostarczyć... kochany doktor jednak już był w drugim pokoju z Zosią i — domysleć się łatwo — że się jej oświadczył.

Powieść mogłaby na tem być skończona, bo lecz i uszczęśliwienia Ostójskiego odmalować ani byśmy się kusili — gdyby nie jedna okoliczność wcale szczegółna, która na charakter poczciwego ojca Zosi, rzuca niespodziane światło. Wszyscy go mieli za nader prostoduszego szlachcica, który się nigdy na przebiegły figiel zdobyć nie mógł. Tymczasem, proszę tylko posłuchać, co ten z cichapek zmalował.

Po oświadczeniu się Juliana, po zaręczynach, po upłakaniu się tych którzy ze szczęścia płakać muszą, oznaczono dzień wesela na d. 24 Czerwca. Wszyscy byli tego zdania żeby uroczystość odbyła się skromnie, cicho, w małym kółku rodziny i najbliższych przyjaciół. Julian i Zosia znajdowali że wbrew niedorzecznemu obyczajowi europejskiemu po ślubie karczmny

objeżdżać i wspomnienia pierwszych chwil szczęścia siać po gościńcach byłoby niedarowaną lekkomyślnością.

Na święty Jan więc w bardzo szczupłym gronku zabawiano się u Ostójskiego, który z obiadem jednak wystąpił co się zowie. Kucharza zapożyczył z sąsiedztwa, sprowadził ryb i zwierzyńny i wina i różnych przysmaków o wiele więcej niż było potrzeba ..

Posadzono państwa młodych obok siebie, a—jak gdyby po raz w życiu pierwszy z sobą mówili — zagadali się że cały świat im z oczów zniknął. W tem stuk o kieliszek... — Proszę o głos, — pan Cześnikiewicz wzruszony wstaje z podniesionym do góry wiwadowym, pełnym szumiącego szampana ..

Uciszyli się wszyscy... Ostójski pomyślał.

— Niech ja pierwszy za wasze zdrowie wypiję, — rzekł powoli wzruszony mocno, — niech ja was błogosławię na długie i szczęśliwe życie pracy, zgody, pokoju i cnoty... Ja — ojciec... zabrałem głos bo razem z błogosławieństwem muszę w pokorze wyznać grzech jakiego się dopuściłem... Fałsz popełniłem, który mi pan Bóg przebaczy tylko wówczas, jeśli wy szczęśliwi będziecie.

Uderzył się w piersi.

— Doniu moja, Zosieczko — Julku, synu mój najdroższy... peccavi! skłamałem! Nigdy żaden bankier mi nic nie ukradł, całutki mój pugilares nienaruszony leży w komodzie w potajemniku... Ale gdyby Zosia nie była ubogą, ty byś przez fałszywy punkt honoru uduził ją, póki byś się nie dorobił fortuny. Cóż było począć, musiałem łgać, i jakoś mi się szczęśliwie udało!

To mówiąc krzyknął — Vivat! Julian zbladł Zosia pociągnęła go z sobą aby się ojen razem do nóg rzucili...

Panna Klara dostała mdłości i palpitacyi serca. Kanonik płakał, matka Juliana płakała, goście śmieli się i ściskali...

Co najdziwniejsza. iż poczciwy ów safandula Ostójski tak jakoś dobrze to ukartował, tak naturalnie rolę swoją grał, tak wzdychał, tak się krzątał że żywa dusza, ani córka, ani siostra, ani nikt nie domyślił się owego pobożnego kłamstwa, owej piał fraus, jak ją zwał ks. Kanonik. W czasie gdy Ostójski był w Berlinie trafiło się właśnie podobnego rodzaju banbructwo. mówiono o niem wiele, może być że ono mu poddało ową myśl ogłoszenia swego upadku.

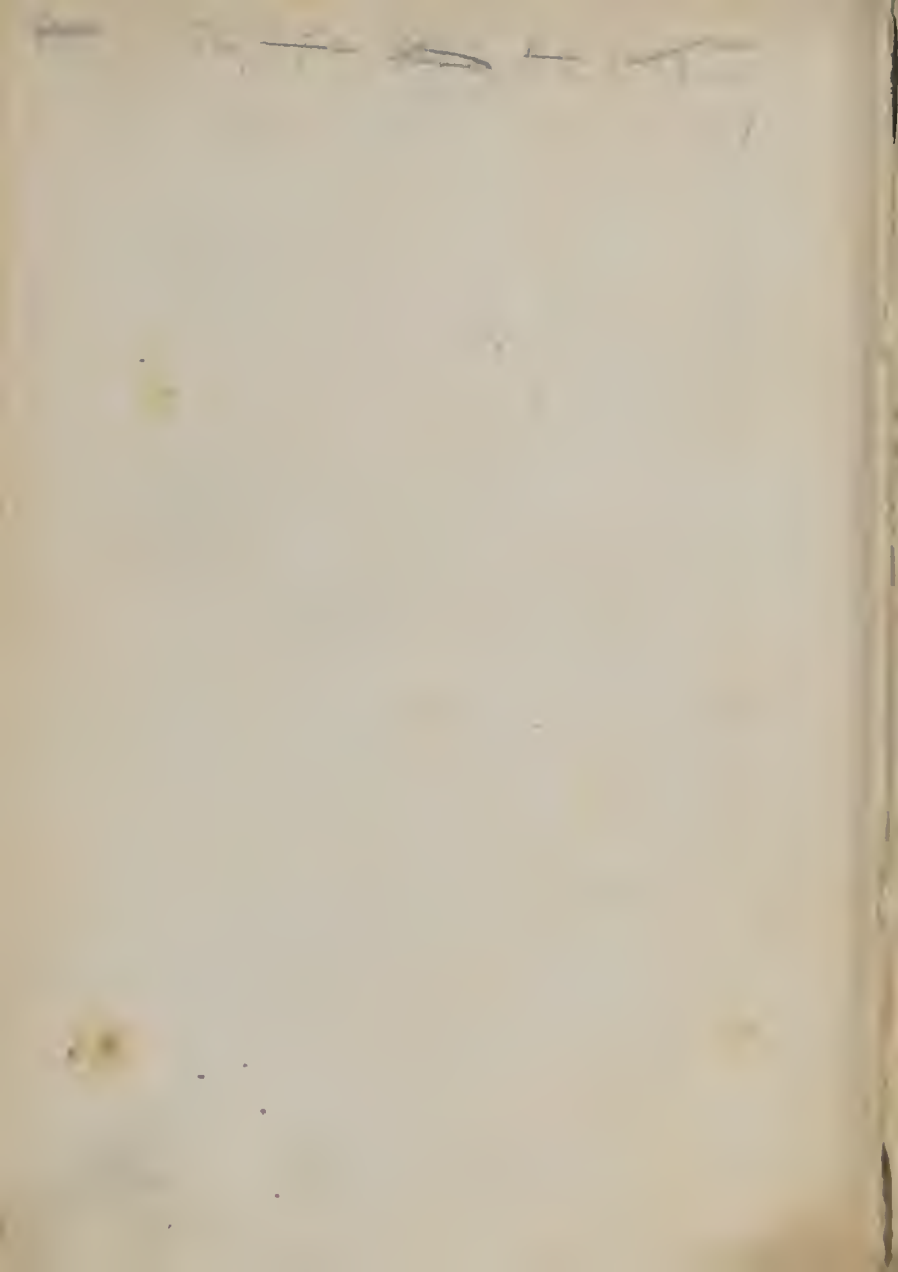
Że Zosi do spisku nie przypuścił, było rzeczą bardzo naturalną. bo jej uczucie nie dozwoliło by było do takiego środka nieć się dla przełamania dmnego oporu Juliana; panna Klara miała mu za złe iż jej nie zaufał. Ostójski śmiał się.

— Co państwo prawicie, żeby była mysz o tem wiedziała tylko... nie byłoby się udało, cała sztuka zem nikogo do tajemnicy nie przypuścił.

Aptekarz Drngda mający ładną córkę i niejaki dalekie plany na doktora, znajdował że bądź co bądź, Ostójski sobie postąpił bardzo — niedelikatnie.

Na biedę nie mogę tej ślubem zamykającej się powieści skończyć tradycyjną formą naszych starych bajek, bom na weseln nie był i nie piłem nic... gdyż Ostójski nikogo obcego nie prosił.

274
51



18
20
152
234
979
5
2797

Biblioteka Raczyńskich

JK 272



JK0272